

2032
Lipoczyński

PRZED
POWSTANIEM STYCZNIOWEM.

Rozprawa
w Kole literacko-artystycznym we Lwowie

nad książką

HISTORIA DWÓCH LAT 1861—1862

przez Z. I. S.



We Lwowie.

Nakładem Włodzimierza Zawadzkiego.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.

1894.

Przed
powstaniem styczniowym.

Rozprawa
w Kole literacko-artystycznym we Lwowie

nad książką

HISTORIA DWÓCH LAT 1861—1862

przez Z. L. S.



We Lwowie.
Nakładem Włodzimierza Zawadzkiego.
Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.
1894.

12354

I



51

X-41798	
12354	I

WSTĘP.

Zbyt żywo tkwią w nas jeszcze wspomnienia ostatniego powstania narodowego; ażebyśmy mogli przyjmować obojętnie wszystko to, co się o niem pisze i drukuje. Wszak krytyka tego powstania i jego przywódców, dokonana zbyt porwczo i namiętnie wobec świeżych jeszcze ran i mogił, stała się drugą rewolucją, rewolucją umysłów na całym obszarze Polski, wpływającą do dziś dnia na tok pokojowych prac narodu. Lecz zarówno anathema, rzucone na ostatnich powstańców i ich walki, jak i gloryfikacya Wielopolskiego i jemu podobnych, rozdrażniały tylko, a nie przyczyniły się w niczem do spokojnego, bezstronnego, prawdziwie dziejowego ocenienia historyi lat 1860—64.

A przecież trzydziestoletnia odległość od owych krwawych wypadków, zdaje się być już taką odległością historyczną, z której sumienny badacz mógłby wypadki te bezstronnie ocenić. I zdawało

się, że znalazł się pisarz, który to mógł i chciał uczynić. „Historya dwóch lat 1861—1862 przez Z. L. S.” (w Krakowie 1892), której I. tom opuścił przed dziesięciu miesiącami prasę, zwróciła na siebie powszechną uwagę i poczęto ją z chęciwością czytać. Opowiadanie szeroko założone, oparte na źródłach znanych i nieznanach, pociągnęło odrazu swą żywością stylu, barwnością obrazów a szczegółowością w rysowaniu ludzi i wypadków. Lecz, niestety, ktokolwiek się tylko w rzecz głębiej wczytał, znalazł te same pierwiastki namiętności, uprzedzenia i z góry powziętej tendencji, które już niejednokrotnie w pracach krytycznych o ostatniem powstaniu się przejawiały, siejąc burzę rozdwojeń i nienawiści, a nie zdrowe ziarno nauki na przyszłość.

Autor „Historyi dwóch lat” zasiadłszy do pisania, powiedział sobie z góry, że Polska niepodległa w dawnych granicach jest chimera, że krzewienie tej idei jest „niepoprawnem marzycielstwem” a dobijanie się jej zbrodnią na narodzie dokonywaną, i że tylko w zawistości politycznej od Rosyi może być mowa o uchronieniu żywiołu polskiego od ostatecznej zatury.

A więc sofizmaty bieżącej polityki wmieszały się odrazu w opowiadanie

dziejowe, zamąciły je i skrzywiły, zaprawiając niejednokrotnie gryzącem szyderstwem i pogardliwymi wyrazami. A że się wplatają zręcznie i dla pobieżnego czytelnika dość niewidzialnie w tok opowieści żywej, mającej wielkie zalety literackie — tem niebezpieczniejszem czynią dzieło dla tych, którzyby się z niego o przebiegu wypadków z r. 1861—1862 dowiedzieć chcieli.

Ta niebezpieczna strona „Historii dwóch lat“ dała powód, iż pewne grono pisarzy, badaczów dziejowych i uczestników ostatniego powstania zebrało się w lwowskiem Kole literacko-artystycznym i poświęciło dwa wieczory (9. i 13. marca r. b.) rozbiorowi i krytyce rzeczonego dzieła. Oceniano i prawdziwość faktów przez autora przytaczanych i jego na nie zapatrywania. Tym sposobem zebrał się szereg przemówień, mających niemałe znaczenie dla prawdziwej historii ostatniego powstania i dlatego uważaliśmy za potrzebne ogłosić je drukiem.

Zanim jednak ogłoszenie to przyszło do skutku, pojawił się drugi tom „Historii dwóch lat“, co do którego już tu winniśmy nadmienić, iż się we wielu głównych punktach, a w szczególności w zapatrywaniach na działanie Wielopolskiego i na partyę ruchu znacznie od

pierwszego różni. Wprawdzie i tu są jeszcze utyskiwania na niepoprawne marzycielstwo — ale autor w miarę zatapiania się w coraz tragiczniejsze chwile wypadków, sam w sobie polskie serce odczuwa, staje się gorętszym i bardziej w samodzielność bytu narodowego wierzącym. Czy go do tej zmiany uniósł temperament, czy może wpłynęły na nią odgłosy krytyki nad I. tomem dokonanej — rzecz dla nas obojętna. To jednak pewna, że niekonsekwencya zapatrywań, rozsiana tu i owdzie na kartach całego dzieła, a rażąca przy porównywaniu obu t. mów — jeszcze bardziej obniża wartość „Historyi dwóch lat“ jako dzieła historycznego, i stawia je znowu tylko na gruncie materiału dla przyszłego historyka lat 1860—1864.

Co się zaś tyczy głównej tendencji p. Z. L. S., tj. chęci wpojenia w naród tego przekonania, że tylko w zawisłości politycznej od Rosyi może się żywioł polski od ostatecznej uchronić zraty — mamy nadzieję, że zgodzi się i on kiedyś na własne zapatrywanie wyrażone w II. tomie swego dzieła (str. 389) o oczekiwaniach, jakie żywili członkowie warszawskiej Rady municypalnej, o których mówi: „Omylili się, jak wszyscy się zawsze mylą, ilekroć mają do czynienia z rządem rosyjskim“.

A. S.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ODCZYT

Dra Aleksandra Lisiewicza
o „Historyi dwóch lat 1861—1862“

przez Z. L. S.

(Kraków 1892.)

Posiedzenie Sekcyi literackiej
„Koła literacko-artystycznego we Lwowie“
dnia 9. marca 1893.

P. *Juliusz Starkel* zagaja posiedzenie i udziela głosu Dr. Aleks. Lisiewiczowi.

Dr. Aleksander Lisiewicz czyta:

Przed kilku miesiącami ukazał się pod tytułem „*Historya dwóch lat 1861—1862*“ tom pierwszy dzieła, które ze względu na temat, poruszający niedawną a bardzo bolesną dla nas przeszłość, wysoce zainteresowało myślącą część społeczeństwa polskiego.

Jakkolwiek dzieło same nie jest jeszcze skończone, to jednak ogłoszony tom obejmujący część wstępną, dzieje lat 1856—1860, stanowi dla siebie całość i można wyniki pracy autora i zawarte w niem poglądy omawiać bez ujmy dla całego dzieła.

Powiedziałem „można“, sędzę jednak, że nie tylko można, ale potrzeba, ażeby społeczeństwo nasze zainteresowało się silniej nie tylko dziełem, bądź co bądź poważnem, omawiającem dzieje niedawnej dopiero naszej przeszłości narodowej, ale nadto, ażeby pewne poglądy po-

lityczne autora należycie zostały rozważone i ocenione.

Dość często można się spotkać u nas ze zdaniem, że czasy ostatniego powstania polskiego zbyt są bliskie, i że z tego powodu nie można spokojnie i krytycznie opisywać tych wypadków, ani też wydać o nich należytego sądu.

Urzędowa historia idzie jeszcze dalej w ocenianiu tego, co ze spokojem omawiać wolno. Dzięki temu zapatrywaniu dla młodzieży szkół średnich historia powszechna kończy się z chwilą upadku Napoleona I. a cały wiek XIX wraz ze swym olbrzymim ruchem narodowościowym, walkami o prawa konstytucyjne, powstaniami Polaków, Greków, Włochów i Słowian południowych, zmianami politycznymi na kontynencie itd. jest białą kartą.

Autor „Historyi dwóch lat“ słusznie jednak poszedł za innem zdaniem. Współczesny może do pewnego stopnia najlepiej, najżywiej opisać wypadki, na które patrzył lub w których brał udział — mówi autor — i tak jest w istocie.

Wszak historycy nasi badający przeszłość narodu niejednokrotnie zachwycają się, gdy na świadectwo swych twierdzeń mogą powołać Długosza, Wapowskiego lub Heidensteina, opisujących wy-

padki współczesne, przy których byli lub mogli być obecnymi!

Dlaczegożby inaczej miało być dzisiaj? Prawda historyczna zyskać tylko może na ogłoszeniu historyi niedawnej, gdyż jaskrawe lub stronnice fałsze mogą znaleźć i z reguły znajdują odparcie ze strony żyjących świadków zdarzeń.

Oprócz chęci wiernego przedstawienia ważnej epoki naszego porzobiorowego życia pragnął autor w chwili „gdy ustępowanie ze wszystkich nieomal placówek samoistności i odrębności narodowej uchodzi za patryotyzm, za dobrą służbę ojczyźnie, gdy drobne aspiracye, małoduszne pragnienia, mieszczańsko-kupieckie dążności stają się ideałem bytu narodowego“ dać społeczeństwu książkę, malującą obraz innych czasów, innych pragnień, opisującą wysoki i jedyny w swoim rodzaju nastrój ducha polskiego.

Przejdźmy po krótkce treść tej księgi*) i zobaczymy, jak się autor wywiązał ze swego zadania.

Dnia 2. marca 1855 zakończył życie car Mikołaj I., okrutny despotą, który przez lat trzydzieści żelazną stopą przy-

*) W streszczeniu posługuję się ile możności najwierniej słowami autora, ażeby każdemu umożliwić samoistny sąd o dziele.

gniał miliony podwładnych swemu berłu i jak zmora zaciężał nad nieszczęsną Polską.

Śmierć jego w czasie, gdy działa sprzymierzonych grały jeszcze pod Sewastopolem, zdawała się otwierać lepsze horyzonty dla naszej ojczyzny. Przekonanie, że system mikołajowski się przeżył, a nadto wieści, że Aleksander II. ma umysł liberalny, serce ludzkie, że ożywiony jest jak najlepszymi chęciami — napawały wszystkich otuchą, że w położeniu kraju muszą nastąpić stanowcze i korzystne zmiany.

Ponadto, jak zawsze w epoce porobiorowej, wierzone stanowczo, że mocarstwa zachodnie a zwłaszcza Francya zajmują się sprawą polską.

Te ostatnie przekonania podsycaly wieści przychodzące z zachodu. W urzędowym *Monitorze* paryskim ukazały się rozmaite adresy emigracyi polskiej, wystosowane do Napoleona III. z powodu nieudanego zamachu na jego życie, adresy, które z powodu treści swej i objaśnień, odnoszących się do osoby księcia Adama Czartoryskiego i generała Rybińskiego, zwracały na siebie powszechną uwagę.

Wkrótce potem i to aż dwukrotnie w ciągu roku 1855 rząd francuski rozpoczął starania dyplomatyczne u rządu

angielskiego celem podniesienia sprawy polskiej.

Wprawdzie angielska odpowiedź była odmowna i skutkiem tego rząd francuski postanowił rozwiązanie sprawy polskiej pozostawić ogólnemu biegowi wypadków, lecz to nie ostudziło obudzonych nadziei.

Na wiosnę roku 1856 zebrał się kongres paryski. Dla odmiany Anglia przypominała sobie o Polsce. Palmerston żądał nawet poruszenia sprawy polskiej na kongresie, lecz, ponieważ żaden rząd zbyt gorąco sprawy nie popierał, skończyło się na pogadankach Clarendona z Napoleonem i Orłowem i na przyrzeczeniach ze strony Orłowa, że skargi legalne Polaków otrzymają zupełną satysfakcyę, lecz że godność Rosyi nie pozwala, by ten przedmiot był rozpatrywany na kongresie.

Reprezentanci mocarstw zadowolnili się tem oświadczeniem. W Polsce jednak wierzono najmocniej, że w pokoju paryskim były tajne stypulacye odnoszące się do naszej ojczyzny i łudzono się dalej rozmaitymi nadziejami tem bardziej, że w lecie roku 1856 w parlamencie angielskim na interpelacyę w sprawie polskiej minister dał odpowiedź mglistą, niewyraźną, zawierającą niejasną groźbę dla Rosyi.

Tymczasem los jakby uśmiechał się Polsce. Wierny sługa cara Mikołaja książę Paszkiewicz, namiestnik królestwa, umarł 1. lutego 1856, a następcą jego zamianowany został książę Michał Gorczaków, człowiek cichy, spokojny, z natury miękki i łagodny, przytem niesłychanie prawy, o manierach arystokratycznych, odbijający przyzwoitem obejściem od brutalnego poprzednika swego.

Chociaż więc Gorczaków zamianował Pawła Muchanowa, powszechnie niecierpianego i zaciętego „diejatiela“ moskiewskiego, dyrektorem komisji spraw wewnętrznych i duchownych, a więc oddał mu w ręce najważniejsze i najbardziej wpływające na losy kraju ministerjum, — to jednak zarówno wstępna mowa namiestnika przy objęciu rządów w zamku warszawskim, tchnąca sympatyczną nutą jak też powszechne przekonanie o konieczności zmiany systemu mikołajowskiego pozwalały Polakom spodziewać się nadejścia lepszych dla ojczyzny czasów.

Te to nadzieje i wieści o szerokich reformach i ulgach zamierzonych przez nowego monarchę spowodowały, że na zapowiedziany przyjazd Aleksandra II. do Warszawy zjawiło się mnóstwo ziemian ze wszystkich stron Królestwa a przyjęcie Aleksandra w dniu 22 maja 1856 w Warszawie było wprost entuzya-

styczne. Lecz już następny dzień przyniósł Polakom niemiłą niespodziankę.

Z inicjatywy Jezierskiego, marszałka lubelskiego, wypracował baron Firks memoriał z nader skromnymi wymaganiami co do amnestyi, przywrócenia uniwersytetu polskiego i przypuszczenia obywatelstwa do udziału w administracyi kraju.

Obok tego i margrabia Wielopolski podjął myśl adresu do cara, adresu bliżej nieokreślonego. Więści te doszły do uszu Muchanowa. Muchanow podejrzewając, że po niezwykłym powitaniu cara w stolicy Polski nastąpi jakaś demonstracya z charakterem politycznym, wpłynął na Gorczakowa tak, że ten uprzedził cara o zamiarach Jezierskiego i Wielopolskiego, zaznaczył niepoprawność marzycieli polskich i przedstawił carowi konieczność otrzeźwienia rozgorączkowanych głów polskich przez surowe napomnienie.

Historyczny ten moment nastąpił 23. maja 1856. Wówczas to Aleksander II. przyjmując duchowieństwo, urzędników i marszałków szlachty, zaznaczył dobitnie, że chce, ażeby porządek przez ojca ust nowiony był nadal utrzymany i zapowiedziawszy, że Polacy dla dobra własnego muszą być na zawsze złączeni z wielką rodziną cesarzy rosyjskich,

ostrzegał z naciskiem, ażeby nie mieli „żadnych marzeń“.

Wrażenie tej mowy było olbrzymie— lecz ogół, do którego treść tych słów jeszcze nie doszła, oddawał się dalej złudnym nadziejom i urokowi blasku i zabaw, jakie panowały w Warszawie przez następnych kilka dni pobytu cara. Wspaniałe bale, festyny następowały jeden po drugim; cała arystokracja i szlachta szła na wyścigi, ażeby godnie przyjąć następcę Jagiellonów występującego w stroju przypominającym narodowe kolory, bo w mundurze ułanów gwardyi z amarantowymi rabatami i srebrnymi szlifami.

Przyjęcie w ogóle podobało się carowi, a pięknym kobietom polskim nie szczędził duserów. To też ton drugiej mowy cara w pałacu Łazienkowskim, w dniu 27. maja po balu szlachty, chociaż i ta mowa była parafrazą poprzedniej, był o wiele łagodniejszy. Mowa ta nadto przyniosła zapowiedź pierwszej łaski: amnestyę dla wychodźców i zesłańców na Sybir.

Lecz amnestya ta zawierała w sobie fałsze a zarazem obelgi dla narodu. Ukaz bowiem twierdził, że emigracya polska podawała do rządu rosyjskiego liczne prośby o dozwolenie powrotu do kraju z wynurzeniem żalu za chwilowe

obłąkanie, co było nieprawdą i obrażą. Dalsze zaś twierdzenie „że wielu z wychodźców a zwłaszcza ci, którzy opuścili kraj po rokoszu (r. 1831), wstrzymują się z podaniem prośb jedynie z niepewności o przyszły ich los w kraju“, również było kłamliwe i poniżało powody, dla których emigracya nie chciała wracać do ojczyzny.

Te ustępy ukazu, jak nie mniej obelżywe żądanie trzechletniego dobrego sprawowania się po powrocie do kraju, spowodowały, że w ogóle bardzo mało wychodźców wróciło do kraju i że najpoważniejsze stronnictwa emigracyjne uroczyście odrzuciły amnestję i publiczne protesty przeciw niej założyły.

Tymczasem z okazji koronacyi cara nastąpiły dalsze łaski. Manifest z 7. września obdarzał głowę rodziny ze szlachty medalem za kampanią krymską i orzekł wstrzymanie poboru rekruta na lat cztery — ukaz zaś z 16. września zezwolił na powrót do ojczyzny zesłańców na Sybir.

W ciągu kilku lat powrócili ludzie najbardziej zahartowani i utrwaleńi w swej nienawiści ku Rosyi, ludzie niesłychanej zacności i czystości charakterów, przejęci gorącem, idealnem poczuciem miłości ojczyzny, o której marzyli wśród długich sybirskich nocy wygnania.

Ci to ludzie, gotowi do dalszej świętej pracy dla ojczyzny; przynieśli ze sobą pierwszy ferment dla akcyi w pośród budzącego się z uśpienia i przygnębienia społeczeństwa. W łonie tego społeczeństwa poczyniała się już budzić pewna nieufność ku rządowi.

Rok rządów nowego cara już upływał a oprócz mało znaczących ulg i amnystyi nic się zasadniczo nie zmieniało.

Wprawdzie z końcem roku 1856 zdecydował się rząd na obsadzenie trzech katedr biskupich w Polsce a dziennikarstwo rosyjskie wychwalało nad miarę tę wspaniałomyślność carską, lecz sprawa mieszkańców wsi Dernowicze, Pawłowa, Brzozowa itd. gdzie włościanie słysząc o łagodności cara usiłowali powrócić do unii i gdzie następnie w barkrzyński sposób przywrócono prawosławie, — świadczyły wymownie o tem, że rząd w niczem się nie zmienił i pozostał jak poprzednio, samowolnym, wrogim narodowości.

Muchanów, który głównie kierował rządami w Polsce, twierdził, że Polakom nie należy dawać żadnych ustępstw, ale dzierżyć ich ciągle żelazną ręką.

Tego systemu się też trzymało, a ustępstwa czyniono nader niechętnie i małymi dawkami, ulegając z konieczno-

ści prądowi liberalnemu, ogarniającemu całe państwo.

To też, chociaż w myśl przyrzeczeń paryskich Orłowa i celem zaradzenia krzyczącemu brakowi fachowych sił w kraju, zdecydowano się na założenie uniwersytetu w Warszawie, opór Muchanowa spowodował, że myśl tę zarzucono i skończyło się na urządzeniu wykładów prawa przy kilku gimnazyach filologicznych i na założeniu akademii medycznej w Warszawie.

Kraj cały witał wdzięcznie otwarcie tej akademii, jak w ogóle w tej epoce gorąco zajmował się wszystkim, co choćby daleki związek miało ze sprawami ogólnymi.

Temu zajęciu się zawdzięczała też szeroki rozgłos sprawa zbiorów po Konstantym Świdzińskim.

W tej sprawie margrabia Wielopolski występując z niepospolitą butą i pychą wbrew opinii całego ogółu, jako samowładny pan i spadkobierca bogatych zbiorów Świdzińskiego, naraził się całemu społeczeństwu polskiemu i ostatecznie po kilkuletniej kosztownej walce, która na majątku zakładowym zbiorów, dla użytku ogółu polskiego społeczeństwa właściwie przeznaczonych, fatalnie się odbiła, musiał skapitulować.

Gdy tak ten — jak się autor wyraża o Wielopolskim — najrozumniejszy i najtrzeźwiejszy mąż w kraju, wielki charakter, większy jeszcze umysł, najfatalniej wszystkich przeciw sobie obruszył, podnosił się równocześnie wysoko w opinii publicznej i stawał się moralnym kierownikiem kraju, człowiek, nie mający do tego, zdaniem autora, prawa ani przez swój rozum ani przez swą inteligencję, ale niemniej szczery i gorący patryota — Andrzej hr. Zamojski.

Zamojski pobierał nauki w Genewie i Edymburgu, a urządzenia społeczne i polityczne angielskie wywarły na nim niezatarte wrażenie. Widząc bezowocność spisków, jako zasadniczy punkt programu postawił sobie legalność wobec rządu, wychodząc z tego założenia, że nie ma takiego prawa na świecie, z któregooby jakichś korzyści nie dało się wyciągnąć.

W jego umyśle zarysował się program t. zw. pracy organicznej, opierający się na trzech zadaniach: podniesieniu kraju z ruiny ekonomicznej, załatwieniu sprawy włościańskiej i oświeceniu ciemnych mas polskich.

Ten program miał doprowadzić Polskę do takiego wzmocnienia wewnętrznego, by z czasem jak owoc dojrzały odpa-

dła samym swym ciężarem od drzewa rosyjskiego.

Istotnie też Zamojski urządzał najrozmaitsze przedsiębiorstwa, warsztaty mechaniczne dla budowy parowozów, fabrykę maszyn rolniczych, stykał się z całym światem przemysłowym i rzemieślniczym w Warszawie a popularność jego wzrastała szybko.

Przyczyniały się do niej także zakazane później zjazdy ziemian w Klemensowie, gdzie Zamojski pokazywał rozmaite inowacje gospodarskie, maszyny rolnicze itd.

Zjazdy te spowodowały, że koło osoby Zamojskiego zebrała się pewna grupa zamożniejszej i inteligentniejszej szlachty t. zw. przez autora *Klemensowczyków*. W gronie Klemensowczyków powstała myśl założenia Towarzystwa rolniczego, co odpowiadało programowi pracy organicznej Zamojskiego. Ułożono statut tego Towarzystwa a ponieważ Muchanow widział w niem klapę bezpieczeństwa, przez którą para pragnień społecznych uchodzić mogła i ponieważ najwięcej sprzeciwiał się projektowi generał Kotzebue, którego Muchanow nie cierpiał, przeto projekt uzyskał jego aprobatę a następnie po nowej bytności Aleksandra II. w Warszawie, w jesieni r. 1857 został przez cara zatwierdzony.

Zatwierdzenie Towarzystwa rolniczego sprawiło powszechną radość. W Towarzystwie widziano przyszlą faktyczną reprezentacyę kraju, organ, przez który głos pragnień narodowych miał się dać słyszeć.

W dniu 16. stycznia 1858 zawiązało się uroczyście Towarzystwo w sali posiedzeń okręgu naukowego warszawskiego, a Zamojski wybrany został jednomyślnie prezesem Towarzystwa.

W ciągu miesiąca liczyło Towarzystwo już 1200 członków, w rok 2538, między którymi znaleźli się niemal wszyscy znakomitsi i wybitniejsi mężowie kraju. Działalność Towarzystwa ogarnęła wszystkie zawody i gałęzie przemysłu, mające jakikolwiek związek z rolnictwem. Urządzano wystawy rolnicze, konkursy, folwarki doświadczalne, laboratoria, zakładano ochrony, szkoły dla rzemieślników, wydawano dzieła specjalne i ludowe. Za pośrednictwem korespondentów pozostawał komitet w stosunkach z całym krajem.

Od razu dało się uczuć w Królestwie, że ktoś myśli o losach ojczyzny, że jest jakieś ciało, które spaja rozbite szczątki społeczeństwa. Że zaś wśród członków komitetu panowała silna harmonia, poczęło Towarzystwo wywierać na kraj wpływ przeważny i dominujący.

Tymczasem na Litwie generał-gubernator wileński Nazimów mając upoważnienie od cara, postanowił spróbować, ażeby rozpocząć na tamtejszym gruncie reformę włościańską. Przez dłuższy czas przygotowywał szlachtę do podjęcia sprawy reformy, podsycając ambicję szlachty, że Litwie to przyniesie zaszczyt, jeżeli od niej wyjdzie inicjatywa w sprawie usamowolnienia włościan, to znów przypominał im kompatryotę Tadeusza Kościuszkę, który jeszcze w r. 1794 pragnął tego usamowolnienia.

- Za jego wpływem potworzyły się też komitety szlacheckie, w Wilnie, Grodnie, Kownie, Mińsku, Mohylewie i Witebsku, które zajęły się rozprawami w tej kwestyi. Kiedy zaś w skutek manifestów koronacyjnych cara i pod wpływem wiadomości o zezwoleniu na otwarcie muzeum archeologicznego w Wilnie usposobienia szlachty polskiej na Litwie, podobnie jak w Królestwie ożywiły się nadziejami, skorzystał z tego Nazimow i pod jego naciskiem większość szlachty w komitecie wileńskim oświadczyła się za zupełnem usamowolnieniem włościan. Po zwycięskiej walce przeważało takie same zdanie w Komitecie mohilewskim a komitety grodzieński i kowieński już jednomyślnie oświadczyły się za nadaniem wolności i za wieczystem czynszowaniem.

Dumny z tego uprzedzenia całej Rosyi na punkcie reformy włościańskiej Nazimow polecił spisać decyzje komitetów w formie adresu do cara i sam wręczył te dokumenty we wrześniu roku 1857 carowi.

W dwa miesiące później, 20 listopada 1857, wyszedł reskrypt carski, pochwalający zamiary reprezentantów szlachty polsko-litewskiej i rozpoczynający erę najpoważniejszej reformy społecznej. Reskrypt pozwalał na utworzenie komitetów gubernialnych i komisji ogólnej w Wilnie i polecał ułożenie projektu polepszenia bytu włościan na zasadzie oczynszowania lub odrabiania pańszczyzny. Stan taki istniał wprawdzie przeważnie w Królestwie, na Litwie jednak, gdzie chłop był niewolnikiem, stanowił olbrzymi postęp.

Wskutek tego reskryptu rozpoczęły komitety szlacheckie swoją działalność w zimie r. 1857 na 58, a ponieważ z jednej strony wielu było przeciwników reformy a z drugiej niejasne wieści o zmianach społecznych, poczęły budzić z wiekowej niedoli i ciemnoty włościaństwo, przeto w olbrzymich masach narodu nastąpiło niejasne i głuche fermentowanie umysłów. Wielu ze szlachty i całego mieszczaństwa, czując teraz konieczność reformy, postąpiło odrazu o krok

naprzód, przedstawiając jako konieczność nawet patryotyczną uprzedzenie rządu w rozwiązaniu kwestyi reformy przez zupełne uwłaszczenie włościan, za czem także literatura i prasa, zwłaszcza emigracyjna, stanowczo się oświadczyła.

Rozprawy na temat reformy włościańskiej zaczęły poruszać wkrótce umysły szerokich kół społeczeństwa polskiego w całym zaborze rosyjskim. Równocześnie, rozwianie się nadziei, którymi się łudzono przez kilka pierwszych lat rządów Aleksandra, spowodowało, że w umysłach gorętszych poczęła świtać myśl jakiegoś działania. Po za Wielopolskim, opierającym swe nadzieje na rządzie, po za Klemensowczykami, zadowolnionymi Towarzystwem rolniczym i pracą organiczną, powstawało zwolna nieokreślone jeszcze i nie mające widomych przewodników, *stronnictwo ruchu*. Do stronnictwa tego, niezadowolnionego z kierunku działań Klemensowczyków i moskiewskich tendencyj Wielopolskiego, należała, jak mówi autor, wszystka niemal młodzież w kraju, a dalej wszyscy ludzie wykołajeni, niedouczeni, niespokojni, drobniejsi urzędnicy, adwokaci bez klientów, lekarze bez pacjentów, dziennikarze i literaci, nie mający co jeść.

Ludziom tym, pragnącym jakiegoś celu w ich nędznem szarem życiu, oswoi-

bodzenie ojczyzny przyświecało jako jedyny idealny drogowskaz.

Większość ogromna tych, jak ich nazywa autor, morderców własnej ojczyzny, składała się z ludzi zacnych, ożywionych najlepszymi chęciami, ale fanatycznych, podnoszących kult miłości ojczyzny do bałwochwalstwa i nie uznających innych przekonań, jak ich własne.

Poparcie znajdowali oni w kobietach i większości ogółu łatwo ulegającej wpływowi szamnych frazesów, ład zaś w to stronnictwo wprowadzali dawni wywieczeni spiskowcy, emigranci i sybiracy.

Pod wpływem Mierosławskiego, do którego młodzież odbywała ciągłą pielgrzymkę, począł program stronnictwa ruchu przybierać wyraźne kształty. Droga spisków i powstania, drogą sojuszu z rewolucją europejską, mówili czerwoni, można i należy wskrzesić dawną Polskę w granicach roku 1772. Powstanie to miało się oprzeć na chłopie, którego w stanowczej chwili należało do tego poruszyć uwłaszczeniem. Obecny ruch na polu kwestyi włościańskiej potępiali czerwoni jako odczepną jałmużnę chlewa i sadu, godną potępienia.

Ruch wśród młodzieży o barwie czerwonej był w tej dobie ogromny.

Najwcześniejsza i najlepsza organizacja kół młodzieży była w Kijowie, gdzie w roku 1857 na 1000 uczniów uniwersytetu wypadło 800 Polaków. Tam to już podczas kampanii krymskiej istniała wydoskonalona organizacja, zwana systemem trójek, polegająca na tem, że każdy związkowy przybierał sobie dwóch towarzyszy, którzy jego tylko znali i przez niego wchodzili w stosunki z resztą stowarzyszenia. Wszystkie te koła były gorąco rewolucyjne, nieprzyjaźnie usposobione ku rządowi rosyjskiemu. Zbierano się wieczorami, czytano broszury emigracyjne, mowy Mierosławskiego, śpiewano pieśni patryotyczne, zajmowano się sprawą włościańską, literaturą. Wychodziło także piśmko tajne p. t. „Ulicznik“, karzące wykroczenia przeciw ideom demokratycznym a zachęcające do skromności w życiu i obyczajach.

Organizacja kół kijowskich zmieniła się w roku 1860 stanowczo w ten sposób, że w pośród różnych gmin wyłoniła się partya pod nazwą „Purytanów“, która ostatecznie przybrała miano „Ogólnego zebrania“ i poczęła działać wyraźnie w kierunku politycznym polskim, zapowiadając odrodzenie Polski za pomocą powstania zbrojnego

Byłto już nabój gotowy do wystrzału.

Już i na innych terenach powstawały wybitne organizacje. W Petersburgu zorganizował koła wojskowych w latach 1857/8 Zygmunt Sierakowski i Jarosław Dombrowski, obydwaj kapitanowie jeneralnego sztabu, następnie zaś powstały trójki na modłę kijowskich, których ostatecznym celem było zbrojne powstanie.

W Warszawie pierwsze wyraźniejsze skupianie się sił po za Towarzystwem rolniczym nastąpiło koło osoby Edwarda Jurgensa, urzędnika komisji spraw wewnętrznych. Człowiek ten niepospolitej inteligencji, prawego charakteru, odważny i śmiały, posiadający ogromne stosunki w mieście, propagował w kołach swych zwolenników ideę przywrócenia niezależności Polsce przy pomocy zbrojnego powstania; różnił się od skrajnie czerwonych tem, że żądał, aby powstanie było owocem długiej, ostrożnej i systematycznej pracy. Zalecał też korzystanie z wszelkich ulg i koncesyj rządowych, uzyskanie lepszych warunków życia, aby dobrze można było przygotować powstanie.

Stronników Jurgensa nazywano *milenerami* dlatego, że odbudowanie Polski odkładają na tysiące lat.

Pod wpływem teorii Jurgensa i milenerów poczęły się rozmaite starania o koncesye dla narodu i o polepszenie warunków bytu.

Nie udały się jednak starania Kronenberga o przywrócenie uniwersytetu w Wilnie, a propaganda zakładania bractw wstrzemięźliwości po wsiach i miasteczkach, którą duchowieństwo w krótkim czasie fanatycznie poparło i szerzyło, spotkała się z podejrzliwością a następnie z oporem i karami ze strony władz naczelných rosyjskich.

Równocześnie jednak znowu zaczęły się skromne dawki ustępstw ze strony rządu. Dla roztrząsania projektów reformy włościańskiej przysłano generała Ixkulla i utworzono w maju r. 1858 osobny komitet pod prezydencją namiestnika. Komitet ten jednak nie wyszedł po za projekt oczynszowania włościan, a na podstawie prac jego rada administracyjna Królestwa ogłosiła przepisy, na mocy których mogły być zawierane dobrowolne umowy czynszowe między właścicielami dóbr i włościanami.

Ponieważ jednak oczynszowanie nie było przymusowe, nie zadowolnił ten projekt nikogo i oczynszowanie dobrowolne w praktyce nie postępowało zupełnie.

Opinia zresztą zawiedziona w oczekiwaniach wielkich koncesyj, mało przyjmowała sceptycznie i bez wrażenia. Donioślejsze znaczenie miała jedynie reforma poczt w Królestwie, w których

zaprowadzono język polski i które poddano pod zwierzchnictwo namiestnika, tudzież ustanowienie na Litwie katedry języka polskiego.

Ustępstwa tego nie dano jednak szlachcie polskiej na Białorusi, a prośbę szlachty w tej sprawie podaną carowi w Mińsku spotkała nie tylko odmowa, lecz i surowe napomnienie, że kraj, o który się rozchodzi, jest odwieczną własnością Rosyi i został tylko odebrany od Polski.

Oziębilo to wiele umysłów na Białorusi, a jednak mimo tylu już zawodów Litwa z kolei łudziła się pięknymi marzeniami z powodu zamierzonego przyjazdu Aleksandra do Wilna. Nietylko wspaniałe przyjęcia kosztem szlachty ale i służalcze panegiryki, z którymi wystąpili Odyniec, wierszem witający „dzie dzica Jagiellonów“ i Chodźko, widzący w przybyciu cara wiekopomną chwilę przez Boga dla Litwy zesłaną, — oto widome objawy usposobienia ogółu, który nie tylko nie potępiał takich wystąpień, ale owszem radośnie witał młodego monarchę w murach Gedymina.

Powtórzyły się sceny warszawskie; car prawił komplementy kobietom, cieszył się z przyjęcia, polował u hr. Tyшкеwicza, dziękował szlachcie i ostatecznie żadnych zmian nie przyrzekł, ani nie wprowadził.

A jednak wciąż jeszcze oczekiwano zmian i łudzone się co do zamiarów Aleksandra, bo gdy z kolei Aleksander znowu we wrześniu 1858 zjechał do Warszawy, przyjmowano go z dawnym entuzjazmem i przepychem a przyjęcie cara i jego gości, Napoleona, brata cesarza francuskiego i książąt niemieckich w Wilanowie, zaćmiło wszystkie dotychczasowe festyny.

Byli nawet ludzie, którzy wierząc stanowczo, że Aleksander zrobi coś dla Polski byleby mu przypomnieć, że obecny stan jest dla Polski i Rosyi zgubny, występowali z inicjatywą na własną rękę. Takim był Michał Łempicki, którego memoriał, proponujący dobrowolną unię Polski z Rosyą, na wzór starej unii lubelskiej dostał się nawet do rąk cara i na chwilę go zajął. Ostatecznie jednak ten i późniejsze memoriały Łempickiego pozostały bez echa.

Lecz czas powoli robił swoje. Kiedy i ostatnia bytność cara żadnych zmian w Królestwie nie spowodowała, usposobienie ogółu dla rządu i cara uległo radykalnemu już przewrotowi. Tracono wszelkie nadzieje, wszelkie złudzenia a nastrój umysłów spoważniał nad wyraz. Znikła hulaszczność młodzieży, potępiano huczne zabawy, stroje kosztowne, zbytki w życiu.

Równocześnie skutkiem otwarcia akademii medycznej przybył miastu zastęp niepospolitych sił inteligencji, zdolnej do skonsolidowania dotychczasowych luźnych kół młodzieży w ciało poważne, w prawdziwe stowarzyszenie polityczne.

Do rzędu ludzi, którzy wkrótce zajęli dominujące wśród młodzieży stanowisko i skupili około siebie poważne koło stronników, należał Jan Kurzyna, człowiek ognisty, stanowczy, imponujący młodzieży zapalem, ogniem i znajomością rewolucyjnego piśmiennictwa polskiego. Koło jego dążyło śmiało i otwarcie do wywołania w kraju ruchu, a koło to znalazło wybitne poparcie w innym związku, złożonym z rozmaitych żywiołów mieszczańskich, niższych urzędników, młodzieży kupieckiej, którego głową był gorący patriota o przekonaniach rewolucyjnych Narcyz Jankowski.

Obydwa te koła, wspierając się nawzajem, szukały tylko sposobności, ażeby czynnie wystąpić na widowni.

Jakoż i nadarzyła się sposobność. Dnia 23. lutego 1859 umarł w Paryżu Zygmunt Krasiński, ostatni z wieszczej trójcy największych poetów polskich. Śmierć ta natchnęła akademików myślą zrobienia próby celem przekonania się o usposobieniach ogółu. Na dzień 18. marca 1859 zamówił Kurzyna w koście-

Ile księży Pijarów nabożeństwo za dusze Adama, Juliusza i Zygmunta, a chociaż policya dowiedziała się o nabożeństwie i w ostatniej chwili go zabroniła, to jednak do kościoła zeszły się tłumy, które dowiedziawszy się o zakazie, nie ukrywały oburzenia na rząd i policję.

Próba ta okazała, że w społeczeństwie warszawkiem żyją uczucia patryotyczne i że ono niewątpliwie weźmie udział tłumny w przyszłym ruchu.

Podnieciło to partyę rewolucyjną do tem gorętszego działania.

Z drugiej strony Muchanow dowiedziawszy się, że nabożeństwo urządzała młodzież, przekonał się, że w łonie młodzieży coś się knuje. Postanowił więc zgnieść ten prąd w zarodku i dla tego polecił władzom akademickim przyspieszyć egzamina podlekarskie i utrudnić je podejrzanym, którzy wskutek tego opuszczają akademię i oczyszczają ją z żywiołów szkodliwych.

Lecz Kurzyna i jego koło poznali się na właściwym celu tych przyspieszonych egzaminów.

Mimo opozycji Jurgensa i Milenerów, obawiających się skutku takich kroków, wysłano najpierw deputację do rektora Cycuryna z żądaniem odwołania rozporządzenia co do egzaminów, a gdy to nie odniosło skutku, zwołał Kurzyna ogół-

ne zgromadzenie kolegów na pola Grochowskie, gdzie uchwalono i zredagowano podanie o uwolnienie z akademii. Naza-jutrz dwieście takich podań złożono władzom akademickim.

Wrażenie tego kroku było ogromne. Skutkiem jednak zabiegów profesorów sprawa nie przybrała złego obrotu i skończyło się na tem, że najznacniejsza część cofnęła swe podania. Kurzyńę, Jaśniewskiego i kilku innych inicjatorów wydalonono z Warszawy, niektórzy zaś zawziętsi sami przenieśli się na uniwersytety do Moskwy lub Petersburga i ztamtąd utrzymywali stosunki z Warszawą.

Sprawa ta cała jednak nie obudziła dalszej czujności rządu, a Gorczakow po załatwieniu się z akademikami zadowolony drzemał dalej w zamku warszawskim.

Tymczasem chmury zbierały się dalej. Szyderski artykuł Lesznowskiego w *Gazecie Warszawskiej*, skierowany przeciw żydom a wywołany drobnostkową sprawą o koncert panny Neruda, spowodował najpierw zacętą polemikę w prasie warszawskiej i zagranicznej. W ślad za tem poszły pogróżki napadniętych przeciw Lesznowskiemu i proces przeciw grożącym. Najfatalniej zaś wyszło na tem *Słowo* petersburskie i redaktor tegoż Ohryzko, albowiem za wydrukowanie ar-

tykułu antyżydowskiego, po zakazie cenzury warszawskiej w tej sprawie wydanym, Ohryzko dostał się do więzienia a wydawnictwo *Słowa* zamknięto.

Tak więc i sprawa żydowska, której zresztą rząd goić nie pragnął wcale, przyczyniała się do rozdrażnienia umysłów a rozdrażnienie to było tak silnem, że gromy potępienia rzucano na Kraszewskiego za to, że przyjął redakcyę *Gazety codziennej*, zakupionej przez Kronenberga.

Odbiło się to bardzo na Kraszewskim, pokątną agitacyą bowiem spowodowano, że przepadł przy balotowaniu na członka Towarzystwa rolniczego, co było na owe czasy ciosem niesłychanie bolesnym i dotkliwym.

Towarzystwo rolnicze odgrywało już podówczas rolę pierwszorzędną i przedstawiało się jako siła, z którą liczyć się należało.

Rząd sam wkrótce nadał mu cechę niejako parlamentu, który miał debatować nad kwestyą pierwszorzędnej doniosłości politycznej i społecznej. W październiku roku 1859 zawiadomił namiestnik Zamojskiego, że car pozwolił Towarzystwu rozstrząsać kwestyę reformy włościańskiej.

Była w tem pewna niekonsekwencya ze strony rządu, który dotychczas

rolę Towarzystwa do jak najskromniejszych rozmiarów ograniczał.

Chociaż wnioski Towarzystwa miały mieć jedynie cechę doradczą, to jednak w chwili powszechnego ożywienia umysłów warunek ten nie rozdrażnił członków towarzystwa, przeciwnie obudziło się gorące pragnienie, ażeby rozprawy w najważniejszej sprawie krajowej wydały owoc.

Tylko Wielopolski zapatrywał się na sprawę z odmiennego punktu widzenia. Widząc, że rząd wzywając Towarzystwo do działania w sprawie włościańskiej, uznał je niejako za reprezentacyą krajową, sądził Wielopolski, że należy z tego korzystać i że Towarzystwo w legalnej drodze winno przedewszystkiem domagać się koniecznych reform. Za pośrednictwem syna swego Józefa wniósł tedy Wielopolski w lutym r. 1860 na posiedzeniu Towarzystwa rezolucyę, w której proponował wysłanie adresu do cara. Adres ten miał oprócz uczuć wdzięczności za zaufanie wyrazić zdanie, że Towarzystwo uznaje swoją niekompetencyą do rozwiązania kwestyi włościańskiej i prosi o powierzenie sprawy tej reformy stanom prowincjonalnym, które wedle statutu organicznego z r. 1832 ustanowić należy.

Lecz wniosek ten nie zadowolnił większości, a nadto obawiano się, że rząd może cofnąć dane już pozwolenie do roztrząsania reformy włościańskiej, czego Towarzystwo dopuścić nie chciało. Skutkiem tego projekt Wielopolskiego upadł. Po naradach uznało Towarzystwo przemianę czynszowników na właścicieli za ostateczne, jedynie pożądane rozwiązanie kwestyi włościańskiej, sprawa ta zaś miała być stanowczo rozstrzygniętą na dorocznem zebraniu Towarzystwa w r. 1861.

Tymczasem car, objeżdżający z kolei Ukrainę i Podole, i tam oblał zimną wodą szlachtę, która chciała mu w Kamieńcu podać adres o usunięciu rozmaitych niedostatków i znowu ponczył marzycieli, że i Podole, to kraj rosyjski, a nie polski, i że nie mają prawa niczego się domagać, ani spodziewać.

Nie dziw też, że powoli całe społeczeństwo polskie pozbywało się reszty złudzeń i nie wierzyło w żadne ważniejsze zmiany.

Pobyty cara w Warszawie w październiku roku 1859 nie wywołał już wcale takiego entuzjazmu, jak poprzednio.

Niezadowolenie wzrastało, a równocześnie rosły w znaczenie stronnictwa ruchu. Gorączka ogarniała czem raz szersze warstwy narodu, a zwłaszcza

młodzieży. W kole akademików po Kurzynie objął przodownictwo Majewski Karol — jego koło i koło Jankowskiego potężniały, rosły w siłę. Za staraniem, Jankowskiego któremu układy z Jurgensem się nie powiodły, zdecydowano w jesieni roku 1859 zlanie się obu kół pod nazwą „Kapituły warszawskiej“. Do kapituły wybrano Jankowskiego, Delneta, Krze mińskiego, Wereszczyńskiego i Majewskiego. Było to pierwsze skonsolidowane ciało, które zaczęło działać konsekwentnie, które wreszcie chwyciło rodzaj władzy w swe ręce. Wprawdzie najenergiczniejszy przewodzca ruchu i kapituły, Jankowski, schwytany na granicy w Szczakowej, wkrótce zniknął z horyzontu osadzony w cytadeli warszawskiej, — lecz działanie kapituły rozgorączkowało już całe społeczeństwo. Rozrzućane broszury, pisma patryotyczne, portrety Kościuszki i Kilińskiego, podtrzymywały ten stan gorączkowy. Grupa najgorętszych: Frankowscy, Nowakowscy, Asnyk, domagała się stanowczo czynu, manifestacji publicznej uczuć.

Wkrótce też z inicjatywy Gralewskiego i Gillera na pogrzebie wdowy po jenerale Sowińskim, bohaterskim obrońcy Woli w r. 1831, nastąpiła pierwsza wspauiała manifestacja. Kilkunastutysięczny tłum brał udział w pogrzebie, który

swą ciszą i powagą robił imponujące wrażenie. Młodzież niosła trumnę na swych barkach aż za rogatki Wolskie, rozszarpano ozdoby trumny, pozrywano gałęzie jaśminu i zieleni z grobów i wśród entuzyastycznych okrzyków wracał umajony tłum do miasta.

Sledztwo z powodu tej sprawy nie powiodło się zupełnie i zostało z rozkazu Gorczakowa przerwane.

Zjazd trzech cesarzy, który miał się odbyć w jesieni r. 1860 w Warszawie, dał powód do dalszych wy-tąpień. Ukazały się plakaty zabraniające udziału w uroczystościach, palono suknie kobiet kwasem siarczanym, gaszono illumina-cye. W teatrze przeł przybyciem monarchów, Filipowicz student szkoły sztuk pięknych i dwaj gimnazjaliści Trąbcezyński i Kleczyński zdołali popalić aksamity w łożu cesarskiej kwasem siarczanym, a wylawszy z paradyzu płynną asafetydę, napełnili salę taką zabójczą wonią, że nikt nie mógł wytrzymać i ledwie do 8 godziny zdołano przywrócić porządek.

Przyjęcie cara i jego gości było też zupełnie inne, niż dawniej. Klas wyższych a zwłaszcza kobiet z najlepszych towarzystw nie widziano wcale i tylko motłoch żydowski, spędzany przemocą,

krzyczał „hurra“. Choroba matki cara przerwała zjazd.

Wszystkie dotychczasowe próby manifestantów. nie karcone wcale, zachęcały ich do dalszej czynności.

Rozważniejsi, widząc, że władzy nie mają i że inicjatywa ruchu w ten sposób wymyka się im z rąk, rozpoczęli spory, skutkiem których kapituła rozadła się zupełnie a naczelnicy jej z wyjątkiem Majewskiego, który przeszedł do Milenerów, wyechali z Warszawy.

Wówczas to z polecenia Mierosławskiego przybył do Warszawy Franciszek Godlewski, młody ognisty patryota, który miał za zadanie przywrócić porządek w obozie czerwonych i ciągłymi manifestacyami podtrzymywać ogół na drodze rozpoczętej już walki. Z niesłychaną energią zabrał się Godlewski do rzeczy. Nastąpił cały szereg drobnych manifestacyi z cechą awantur ulicznych lub swawoli szkolnej. Zrywano lub zamazywano smołą szyldy z napisami rosyjskimi, tłuczono szyby tym, którzy urządzali zabawy. Zapanował i ten terroryzm garści młodzieży szkolnej. Nie zapobiegła temu nominacya generała Trepowa na oberpolicmajstra Warszawy, Trepow bowiem nie znał Warszawy i jej mieszkańców a jego nakazy policyjne nie wywierały wrażenia na rozgorączkowanych tłumach.

Agitacya wśród sfer rzemieślniczych i ludu rosła z każdą chwilą i powoli przybierała ogromne rozmiary. To też partya czerwonych ze śmiałością posuwała się o krok dalej. Dnia 29. listopada obchodzono po raz pierwszy w kościele Karmelitów na Lesznie pamiątkę listopadowej rewolucyi nabożeństwem, a wieczorem tegoż dnia kilkutysięczny tłum odśpiewał przed figurą Matki Boskiej koło kościoła Karmelitów stary hymn „*Boże coś Polskę*“. W kilka dni potem powtórzyła się także sama manifestacya w kościele Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu, podczas nabożeństwa za dusze poległych z r. 31.

Ferye Bożego Narodzenia r. 1860 wyrzuciły na kraj całe setki młodzieży akademickiej i gimnazyalnej, która poniosła zarzewie ruchu we wszystkie zakątki kraju.

Ta agitacya gwałtowna przerażała rozmaitych trzeźwych patriotów, którzy czuli, że kraj dąży olbrzymimi krokami ku powstaniu. Pertraktacye, zdążające do otrzeźwienia czerwonych, nie odniosły skutku. Żądano, aby towarzystwo rolnicze wystąpiło z adresem, upominając się o najkonieczniejsze reformy. Klemensowczycy długo wahali się i ulegli dopiero wobec zdania, że jeżeli krew się poleje,

to w Petersburgu bez adresów dowiedzą się, że trzeba coś dla Polski zrobić.

Wobec tego zadecydowano, ażeby na lutowym zebraniu Towarzystwa rolniczego roztrząsać te kwestye i wystąpić z żądaniem wprowadzenia statutu organizacyjnego z r. 1832.

Wśród powszechnego rozgorączkowania umysłów, gdy jednych dręczył niepokój a drugim uśmiechała się nadzieja świetnej dla ojczyzny przyszłości, dobiegł do kresu rok 1860 a rozpoczął się brzemienny w następstwa i pełen okropnych i bolesnych wypadków rok 1861.

*

*

*

Obawiam się, czy nie zanadto obszernie podałem treść „Historyi dwóch lat“, lecz kierowały mną dwa względy. Pragnąłem, podając ile możności wiernie zasadnicze myśli autora, dać zarazem sposobność do ocenienia jego poglądów i do skontrolowania, czy mój sąd jest słuszny. Nadto dzieje tych czasów pod zaborem rosyjskim tak mało są znane tutejszemu naszemu pokoleniu, że z tego względu raczą wybaczyć mi ci, którzy z pośród naszego grona brali udział w wypadkach i dla których powtarzam rzeczy aż nadto dobrze znane.

Nie myślę pracy p. Sulimy poddawać ścisłej krytyce naukowej. Nie jest to mo-

jem zadaniem, zresztą krytyka taka wymaga specjalnych badań. Z ubolewaniem tylko chyba zaznaczyć mogę, że pismo specjalnie naukowe, jakim jest „Kwartalnik historyczny“ nie ma ani jednego zawodowego historyka, któryby się zajmował tak niesłychanie ważną dla nas epoką porozbiorowych dziejów Polski. Mamy cały zastęp his oryków, poważnych uczonych, którzy już zdobyli sobie wybitne imię w literaturze, lecz ulubionem polem tych pracowników są albo zamierzchłe czasy naszej przeszłości albo epoka świetności i upadku Polski, lecz nie dobiegający już do kresu wiek XIX.

To też jedynym, który w „Kwartalniku“ z reguły wydaje sądy o dziełach, odnoszących się do ostatniej epoki, jest p. Henryk Lisicki, niewątpliwie dzielny szermierz pióra ale poza tem skrajny reprezentant pewnego sironnictwa, reprezentant, którego nawet Spasowicz, dość zgodny z nim w sądach co do polityki Wielopolskiego, nazywa panegirzystą i urzędowym chwalcą osoby i polityki margrabiego.

Pan Lisicki zadowolnił się też bardzo krótkiem sprawozdaniem o „Historji dwóch lat“ w ostatnich zeszytach „Kwartalnika“, które nawet rościć sobie nie może pretensyi do miana poważnej krytyki i cech jej wcale na sobie nie nosi.

Oczywista, jak zawsze upomina się p. Lisicki przedewszystkiem o osobę swojego margrabiego i prostuje lub uzupełnia drobne szczegóły do charakterystyki jego się odnoszące. Po za tem ogólniki o ówczesnych stosunkach i osobach działających, parę anegdotek (o spotkaniu Ducińskiego z Wielopolskim, pieciu zdrowia Wellingtona (sic!) „pod Różą“ przez Zamojskiego i Pawła Popiela), a wreszcie kilka uwag politycznych na znaną modłę, dopełnia reszty sprawozdania.

Niemniej jednak utrzymuje p. Lisicki, że w „Historyi“ bardzo dużo jest materiału zaczerpniętego z rozmaitych druków bez sprawdzenia autentyczności i bez ostrzeżenia, że nie wszystko może być brane za niewątpliwą prawdę.

Ogólnikowego tego zarzutu nie popartego dowodami, sprawdzić nie można, podnieść jednak należy istotnie, że autor podawszy jedynie na wstępie materiały, na których się oparł, a nie powołując się na nie w przypiskach, uniemożliwił niemal ścisłą i umiejętną krytykę swej pracy.

Drugi recenzent p. Kleczyński poświęcił pracy p. Sul my osobny obszerny artykuł w grudniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* p. t. „Z wielkiego zagadnienia“. Trzeba przyznać, że p.

Kleczyński o wiele łaskawiej obszedł się z autorem „Historyi dwóch lat“. Z artykuła można odnieść przekonanie, że recenzent liczył się na seryo z pracą p. Sulimy. Wytykając usterki i niekonsekwencye przyznaje wielkie zalety dziełu, stwierdza, że autor dobrze zna epokę, że podał nowe ciekawe szczegóły i walczy z autorem głównie o zasadnicze poglądy, w czem we wielu punktach ma niewątpliwą słuszność.

Podstawowe fakty opisane w „Historyi dwóch lat“ są przeważnie znane i prawdziwe. Pomijając tedy krytykę samych faktów można śmiało przejść do oceny poglądów autora na charakter osób i stronnictw działających w tej epoce tudzież do krytyki poglądów jego politycznych.

Otóż wybitną cechą „Historyi dwóch lat“ jest pewna stronnicość poglądów i wybitna tendencyjność, która widnieje już z pierwszych kart dzieła. Charakterystycznem przytem jest, że przedmowa różni się tonem swym jaskrawo od całej treści dzieła, które dla uważnego czytelnika po odczytaniu wstępu stanowi istotną niespodziankę.

Autor uważał za potrzebne skreślenie dziejów początku ostatniego powstania i uważał to za obowiązek obywatelski. Godziło się bowiem wskazać złe ale

i przedstawić dobrą stronę faktu historycznego wobec tego, że znaleźli się ludzie, którzy bezwzględnie potępiłi ostatnie powstanie dla tego, że się nie udało.

„Oplwano, powiada autor, ostatnie powstanie, obrzucono je błotem, wywleczono wszystkich jego działaczy pod pręgierz opinii narodowej i napiętnowano mianem zdrajców, łotrów i sprzedawczyków. Takie ryczałtowe potępienie jest absurdem. Błąd na z nie leżał w tem, żeśmy w ogóle powstawali lecz żeśmy wybierali chwilę nieodpowiednią, źle powstanie prowadzili i nie umieli zużytkować wszystkich sił naszych“.

Pomijając kwestyę wyboru chwili do rewolucyi, którą mojem zdaniem, najczęściej wywołuje przypadek, gdy ruch sam już jest nieunikniony — należałoby przypuszczać, że autor w konsekwencyi swego założenia wykazał złe ale i dobre strony ruchu i jego kierowników.

Tak nie jest.

Przedewszystkiem wybitna tendencya, którą autor zakreślił sobie w założeniu, każe mu być niesprawiedliwym w ocenianiu wypadków i ludzi.

Zdaniem autora niezależna Polska w granicach historycznych jest myśłem, mrzonką, która bezwzględnie i nigdy już spełnić się nie może.

Oto jak się autor wyraża:

„Literatura emigracyjna zrodzona w ponurych nocach wygnania, nerwowo rozdrażniona i chora, oderwana od kraju i karmiona bałwochwaleczą czeią nieziemskiej jakiejs ojczyzny podtrzymywała stan marzeń, chorobliwych iluzji rozpaczliwych skarg i elegij. Pod jej wpływem zapanowało przekonanie, że w kraju nie robić nie można i nie należy, że Polska niepodległa i wolna powstać kiedyś musi przy pomocy zagranicznej, przy pomocy kataklizmu jakiegoś pułku archaniołów z nieba zesłanych, które nie zjawiały się ale zjawie się kiedyś muszą“ (str. 50.)

W dobie, o której mowa, naród, zdaniem autora, nie zrzekł się ani jednego m n i e m a n e g o prawa, nie chciał żadnej unii z Rosyą, chciał niezawisłości politycznej i historycznych swych granic. „Wszystko albo nic“ wołali zacieńtrzewieni politycy nerwów, głupcy, którzy dla marzeń gotowi byli poświęcić życie narodowe, sam jego byt przyrodzony, czerwieńcy, emigranci chorzy na tęsknotę i w tej chwili ziemską, historyczną ojczyznę wyobrażający sobie jako niebo, jako cudowny ideał, jako alfę i omegę bytu, dla którego wszystko, ostatnią kroplę krwi poświęcić należy. Gdyby im, tym biednym, oszalałym marzycielom powiedziano: bęłziecie mieli Pol-

skę pod rządem carów rosyjskich, Polskę z zupełną autonomią ale w granicach jej etnograficznych, po Bug, San z jednej, po Bałtyk i Karpaty z drugiej, po Wartę i Odrę z trzeciej strony, to taką Polskę odzuciliby i nazwaliby to zdradą ojczyzny. Im w długich nocach wygnania, przy połykaniu gorzkiego chleba tułactwa, podobnie jak i ich wychowañcom w kraju, pokoleniu wyosłtemu pod różgą Muchanowa, kontrabandą zdobywającemu wiadomości o własnym kraju, jeżeli się śniła jaka Polska, to z królem własnym z husarskimi skrzydły z granicami Dniepru i Dźwiny! I wierzyli w to, że taką Polskę kiedyś wywalczą, zdobędą lub otrzymają. Fatalne złudzenie, które opłaciliśmy potokami najlepszej naszej krwi i długą, długą nocą niewoli... (str. 64, 65.)

Ustępów podobnych, jak przytoczone (str. 64), jest mnóstwo w całym dziele. Przytoczyłem najważniejsze a zarazem wyjaśniające podstawową myśl autora i płynące ztąd w pracy jego konsekwencye.

Skoro tedy niepodległa Polska historyczna jest mrzonką, a równolegle ideałem autora jest Polska etnograficzna pod rządem carów rosyjskich, to jasnem jest po czyjej stronie stanął autor.

Ideałem jego jest Wielopolski, człowiek, który „nie rozpływał się nad losa-

mi Polski w denerwującym płaczu na lazuruwej głębinie jezior włoskich, ale który myślał trzeźwo o Polsce realnej, prawdziwej, ziemskiej i gotował się do działania dla jej dobra, przy pierwszej przyjaźnej okoliczności" (str. 72).

Człowiek ten „miał niepospolity rozum, potężną inteligencyę, nieugięty charakter, nieposzlakowany patryotyzm, a był przytem trzeźwy i zarazem gorący, gorętszy może od tych wszystkich, którzy o tem mówili" (str. 120).

Wszystkie wystąpienia Wielopolskiego ocenia tedy autor nader życzliwie. Zawsze Wielopolski podnosi myśl rozsądną i „możność urzeczywistnienia jego pomysłu była bardzo prawdopodobna, gdyby los był dał Polsce głowy rozumne, umysły trzeźwe i chłodne, serca przepełnione poczuciem istotnego dobra kraju" (str. 285).

Zaznaczyć już tu się godzi, że chociaż Wielopolski, zdaniem autora, reprezentował stronnictwo i piastował ideę doniosłą, to w czasie, o którym mowa, ani nie brał czynniejszego udziału w wypadkach, ani też zgoła niczem na sympatyę społeczeństwa zasłużyć nie mógł.

Przeciwnie, zarówno proces o ordynacyę Myszkowskich, jak i proces o zbiory Świdzińskiego, nie mógł nikogo dla margrabiego usposabiać sym-

patycznie a odslaniał taką zawziętość, upór i pychę arystokraty, że raczej każdego mógł zrazić dla osoby i charakteru Wielopolskiego.

Cóż dopiero mówić o broszurze politycznej pt. „List szlacheica polskiego do ks. Metternicha“ wydanej w r. 1846, której autorem był margrabia i której chyba zapomnieć nie mogło inteligentne społeczeństwo.

Do największego tyrana, despoty, który żelazną dłońią deptał pokonany naród, wołał w niej Wielopolski: „Przychodzimy oddać się tobie, jako najwspaniałomyślniejszemu z przeciwników. Byliśmy twoimi jako niewolnicy prawem zaboru... Dziś oddajemy się tobie, jako ludzie woli i, z dobrej ochoty bez ostentacyi i rachuby. Staniesz się panem naszym z łaski Boga, którego wyrokowi poddajemy się“.

Wprawdzie Spasowicz tłumaczy, że zwrot ten był tylko kruczką adwokackim, wędką zarzuconą na próbę, a że właściwą tendencją margrabiego było pobudzenie Rosyi do wystąpienia przeciw Austrii i do złączenia Słowian, przyczem proponowane przez Wielopolskiego zjednoczenie Polski z Rosyą miało być jedynie politycznem, nie przeszkadzajacem odrębności narodowej.

Lecz nie uzasadnia tego twierdzenia ani treść breszury, w której margrabia utrzymuje, że my Polacy nie zdolni być panami swego losu jako ciało polityczne, jako państwo i że możemy znaleźć los nowy, jako ludzie rasy słowiańskiej — ani też społeczeństwo nasze ówczesnej doby nie rozumiało w ten sposób wystąpienia Wielopolskiego.

Bądź co bądź Spasowicz, który również bardzo wysoko stawia Wielopolskiego, jego prace i politykę, wydaje swój sąd w większej pracy poświęconej specjalnie osobie i polityce margrabiego — autor zaś „Historyi dwóch lat” idąc w ocenie tej za zdaniem Spasowicza wydaje sąd o osobie Wielopolskiego przed czasem, zanim właściwa polityczna działalność margrabiego się rozpoczęła.

W tem także leży tendencya a zarazem błąd dzieła.

Wielopolski i jego polityka była rozumna. Jakże od niego odbija całe społeczeństwo i wybitniejsi w niem działacze, stronnictwa, w ogóle inni ludzie tej epoki?!

Obraz ten przeważnie smutny i ujemny a powiedzmy także sporo w nim niekonsekwencyi. Zdaje się, że autor znający niewątpliwie epokę nie przetrawił jeszcze należycie materiału i nie zdobył się na obraz jednolity a idąc za biegiem

swej myśli przewodniej dawał czarne barwy tam, gdzie je mieć pragnął, nie licząc się z konsekwencyami tego postępowania.

Otóż emigracya, zdaniem autora, to wielkie charaktery, wielkie serca, kopiące grób samowolnie umiłowanej przez siebie ojczyźnie (str. 89). Większość jej, to ludzie, mimo wieku, nieszczęść i niedoli, zahartowani, wyćwiczeni w spiskach, politykujący ciągle i jedynie polityką zajęcia (str. 90). Powrót tych ludzi, wykarmlionych goryczą wygnania, zdenerwowanych tęsknotą, rozmarzonych snami o tej dalekiej ojczyźnie, której nie spodziewali się już nigdy ujrzeć, zaprawionych w spiskach, był raczej szkoda niż korzyścią, było to wrzucenie fermentu do kadzi, przyłożenie iskry do miny prochowej (str. 86).

Nie wiele różnią się od tej grupy zesłańcy na Sybir. Przyznaje im wprawdzie autor niezmierną czystość i podniosłość uczuć, solidarność, zacność serc, powagę i godność. Ale i to grupa ludzi „zaprawionych w spiskach, których długie sybirskie noce wygnania zrobiły bardziej nieprzejezdnymi w nienawiści dla Rosyi i dla których ojczyzna to bóg indyjski, pragnący krwawych ofiar, wóz Brahmy, pod którego koła każdy rzucać się winien. Fanatycy, mistycy, kogo nie

przekonali, gotowi byli, jak hiszpańscy inkwizytorowie, palić na stosach, zabijać, piętnować mianem zdrajców. Ogniem słów swych i siłą przekonań porywali rozmarzone głowy i serca i do chorej Polski dorzucali nowego zarzewia „ (str. 96—97).

Jaką tedy rolę faktycznie odgrywali w tej epoce ci emigranci i sybiracy, którzy wrócili do kraju po amnestyi z r. 1856?

Otóż trzeba odpowiedzieć, że na to brak zupełnie dowodów w pracy autora. Rzucane tak śmiało gołosłowne frazesy nie znajdują najmniejszego poparcia i uzasadnienia w dalszym toku dzieła.

W epoce pięciu lat dziejów, którą tak szczegółowo opisuje autor, owe tyśiące spiskowców z zawodu, nie występują ani razu na widownię, a chociaż jak się autor wyraża, oni wnieśli ład w organizację czerwonych, nie widzimy ich ani w działaniu a tem mniej na czele poczynającego się ruchu.

Wiemy wszyscy, że i emigranci i sybiracy brali faktycznie udział w powstaniu i należeli do składu rządu narodowego, lecz to zgoła co innego. Powstanie, gdy już raz wybuchło, chłonoło w siebie najlepsze siły narodu, bo to było naturalnem. W epoce, o której mowa, jednak mówić już o ciągłym spisko-

waniu, o fanatyzmie i nietolerancyi emigrantów i sybiraków — objawach zresztą w ogóle nieuzasadnionych — to stanowczo zawcześnie i niesprawiedliwie.

Niesprawiedliwym jest także sąd autora o partyi czerwonych a działaniu stronnictwa ruchu nadaje autor niewątpliwie za wielkie na te lata znaczenie.

Przedewszystkiem stanowczo trudno zgodzić się na zdanie, jakoby partyę czerwonych składali tylko „studenci wszystkich zakładów, a następnie kanceliści, dependenci, drobniejsi urzędnicy, ludzie wykolejeni, niepewni jutra, katylinarne egzystencye“!

Niepodobna nie dostrzedz, że sąd ten pozbawiony jest wszelkiej podstawy. Sam autor za chwilę mówi, że „większość owych katylinarnych egzystencyi składała się z ludzi zacnych, z podniosłemi sercami, ożywionych najlepszymi chęciami.“

Jak to pogodzić?

Demonstracye uliczne w roku 1860 wywoływane były niewątpliwie przez młodzież, rzemieślników i w ogóle warstwy gorętsze, niedoświadczeńsze. Ale autor przypisuje tym demonstracyom zbyt wielki zakres i wagę, a istnienie formalnej organizacyi i spisków, dążących do powstania już w tej dobie, wydaje mi się przedwczesnem.

Pomijam już, że charakterystyka głównych osób tej epoki, jak Gorczakowa z jednej a Zamojskiego z drugiej strony niepowiodła się autorowi.

Gorczaków, to równocześnie generał, który zachował godność w nieszczęściu, honor w niedoli, którego otaczała aureola dawnej chwały wojennej i człowiek, który mógł być ozdobą towarzyskich i państwowych sfer — a równocześnie to zero niedołążne, bez woli i energii, drzemające jedynie na krześle kurulnem i czytające romanse francuskie.

Zamojski, „postać zacna, idealna, ale bez głowy, niepoprawny marzyciel, mistyczny czciciel nieziemskiej ojczyzny“. Człowiek ten jednak stawia program pracy organicznej, urządza cały szereg przedsiębiorstw, przewodzi Towarzystwu rolniczemu i dla nieziemskiej Polski ziemskie chce stworzyć podstawy.

Lecz wszystkie te braki i niekonsekwencye dzieła, które starałem się przedstawić, stanowią mniej ważną stronę zagadnienia. Dzieło jest niewątpliwie poważne. Barwnie napisane, czyta się z wielkiem zajęciem i przywodzi nam na pamięć ważną epokę naszych dziejów, którą poznać i wyświecić jest naszym obowiązkiem.

Czy jednak zasadnicza myśl autora jest słuszną? Czy niezależna Polska hi-

historyczna jest mrzonką, która bezwzględnie nigdy już się nie ziści? Czy jedyne ocalenie dla nas już tylko w Polsce etnograficznej, złączonej unią z Rosyą? Czy o niezależnym bycie naszej ojczyzny nie mamy nawet już marzyć?

Rozumujmy na trzeźwo.

A więc spytam się, dla czego mamy zarzucić nasze aspiracye narodowe?

Wszak każdy człowiek potrzebuje jakiegoś celu w życiu a im cel ten jest idealniejszy, tem szlachetniejszą bywa walka podjęta dla zdobycia tego celu. Czyż może być coś szlachetniejszego, idealniejszego nad miłość dla ojczyzny, którą pragniemy widzieć wielką, świetną, niepodległą?

Dlaczegoż pozbywać się tego świetnego ideału, opróżniającego szarotę codziennego życia?!

Poza tem zapytam, czy już zamarły wszystkie soki żywotne narodu, czy wszystka krew uszła nam z żył, czy zgangrenowane do szpiku ciało nasze nie zdolne już do życia?

Nie — a więc żyć możemy, żyć mamy prawo. Wyssani i wyczerpani materialnie, dawszy w ciągu wieku niejednokrotnie obfity podatek krwi najzdrowszej na ofiarę obcym Molochom, dźwigamy się z upadku nieustannie.

Co ważniejsza, z każdą chwilą posuwamy się o krok dalej w głąb, czując, że nie porywem chwilowym ale pracą od podstaw trzeba budować gmach przyszłości.

Upadliśmy, to prawda. Popołniono na nas gwałt, którego międzynarodowe prawo nazwać a tem mniej usankcyonować nie umie. Dla czego jednak nie mamy już nigdy powstać z upadku?

Wiek XIX przyniósł nam cały szereg przykładów tak niespodziewanych zmartwychwstań i przewrotów, że chyba przeciwnie, niż to sądzi autor, wierzyć musimy, iż i nasza kolej przyjdzie.

Ileż wieków minęło, jak zniknęli Grecy z widowni dziejów — kiedy było Kossowe pole? A jednak w ciągu kilkunastu ostatnich lat zjawiała się i Grecya niepodległa, Włochy stały się zjednoczone, jak długi półwysep apeniński, jest już i Rumunia i S rbia, dźwiga się wreszcie mała Bułgarya.

Dlaczegoż my jedni mamy już zamknąć kartę niezależnego bytu? Czy dla tego, żeśmy nieszczęśliwie powstawali? Nigdy.

Nie moją rzeczą stawiać horoskopy polityczne. Nie wierzymy dzisiaj wcale w interwencye obcych mocarstw, ale widzimy to dobrze, że są chwile, w których polityka zmusza i najniechętniej-

szych do robienia ustępstw, do tworzenia czegoś zgoła niespodziewanego.

Idzie tylko o to, aby to „coś“ miało w sobie siłę istnienia i oporność przeciw nowym zachciankom.

Tę siłę, tę oporność wyrabiają już w nas wypadki, wyrabiać głębiej winniśmy sami.

W chwili, gdy lud polski w Poznańskiem opiera się w zdumiewający sposób naporowi germanizacyi, gdy Polacy na Szląsku upominają się o swe prawa, gdy półtora miliona Polaków za Oceanem łączy się w koła, dźwiga sztandar patryotyczny, gdy wreszcie ćwierćwiekowa praca ekonomiczna i praca na polu oświaty podnosi Galicyę z upadku, nie mamy powodu do pozbywania się naszych nadziei, naszych pragnień.

Niech tylko chwila dziejowa, która przyjdzie, która przyjść musi, nie zastanie nas nieprzygotowanych. Przed laty 30 mieliśmy w domu sprawę włoską i żydowską, mamy je i dzisiaj w całej pełni, chociaż w innej formie. Uwłaszczone miliony nie znają jeszcze swej ojczyzny, iluż jej nie rozumie?!

Mamy i inne rachunki w domu nie załatwione. Nie odkładajmy ich nieustannie.

Wbrew twierdzeniom autora „Doświadczeń i rozmyślań“ winniśmy także

nie zapominać o pokoleniu, które nie może pamiętać bohaterskich dźwignień narodu i pod wpływem ciągłych nauk trzeźwieje tak dalece, że po nad ciasny krąg walki o chleb codzienny idealniejszych celów bytu nie widzi. Ilu też młodych wybiega poza obręb swego gniazda, ilu ich poznało choć mały krąg ziemi ojczystej i tych braci, którym na usta nałożono pieczęcie, na nogi kajdany i których przez ogłupianie i odbieranie chleba chcą skazać na wymarcie lub na zniknięcie w oceanie wszechrosyjskim?

Dość już. Pracy przed nami sporo. Jaką drogą dojdziemy do celu, czy spełni się marzenie Żurawskiego o pochodzie amerykańskich Polaków na Sybir, czy w chwili wielkiego konfliktu europejskiego i dla nas wybije godzina, nie pora marzyć ani rozstrzygać. Że jednak dla nas wybije ta godzina — wierzyć i pracować dla niej jest naszym obowiązkiem.

CZĘŚĆ DRUGA.

„PRZED STYCZNIOWEM POWSTANIEM“

POGAWĘDKA

o dziele p. Z. L. S.

i o czasach przed powstaniem

z r. 1863.

Nad sprawozdaniem dr. Lisiewicza wywiązała się dyskusja, w której pierwszy wziął udział p. A. Skotnicki: Książka, której ocenę dał nam pan mecenas, jakkolwiek ma tytuł „Historji dwóch lat“, nie jest, zdaniem mojem, pracą historyczną, lecz tylko polityczną — i to ośmiela mnie do zainicjowania pogawędki. Autor stawia program nowy, nowe rzuca hasła dla przyszłych prac narodowych — a ludziom, co brali udział w wypadkach 1863 r., dziś już będącym w późnej jesieni życia swego, nie jest obojętnem dowiedzieć się, jak pokolenia po nich obejmujące ster spraw krajowych, zapatruje się na pracę p. Z. L. S., ile w ciągu lat trzydziestu dążenia ich uległy zmianie i w jakim mianowicie kierunku. Przyznaję też, że z tego powodu, odczyt dr. Lisiewicza był dla mnie wielce ciekawym, a cieszę się że zabierając obecnie głos nie potrzebuję polemizować, ale raczej przez podanie kilku uwag

chcę uzupełnić jeszcze jego zapatrywania na rozwój ruchu narodowego przed styczniowem powstaniem.

Książka, jaką mamy pod ręką, opatrzona jest w dewizę „Ludy nie wtenczas powstają, gdy są najmocniej deptane, lecz przeciwnie wtenczas, gdy gniotące je jarzmo, stało się lżejsze“. — Kto jest tym autorem, co takie daje rządowi najezdniczym wskazówkę postępowania z narodem podbitym i jakich używał on materiałów przy pisaniu swej pracy, czy jest tylko odosobnioną jednostką, czy też kogo w społeczeństwie naszym przedstawia — wobec panów zamierzam nad tem się zastanowić.

W r. 1874 autor „Historyi dwóch lat“ wydał „Pamiętniki Łłana“. Nie przedstawia on żadnej prawie wartości — piszący, będąc bardzo krótko w obozie, nie opisuje prawie tego co sam widział, ale opowiada pogłoski zasłyszane, najczęściej fałszywe lub przesadzone błędy pojedynczych osób uogólnia, a jako człowiek rozgryczony i pesymista z natury ma pewien pociąg do opisów skandalicznych. Usiłuje dać ogólny rys organizacyi narodowej, ale że czyni to jedynie na podstawie broszury, napisanej przez członka komisji śledczej Ustimowicza, opartej na zeznaniach więźniów, a więc źródła zupełnie fałszywego, usiłowanie to nie ma

w sobie podstawy prawdziwej. Z całej pracy należy podnieść tylko to, co pisze autor o Wielopolskim, którego nazywa „mordercą narodu“ (ulubione jego wyrażenie wielokrotnie później stosowane do osób biorących udział w wypadkach 1861 do 1864) i czyni go głównie odpowiedzialnym za klęski krajowe, — w ciągu jednak lat 20 zmienia swe przekonania tak dalece, że staje z sobą w biegunowej sprzeczności, a „morderca narodu“, jak nazywał Wielopolskiego, zostaje jedynym, według niego, w całym narodzie rozumnym i trzeźwym patryotą.

W przeddzień spodziewanej wojny Austrii z Rosyą, S. agitował za ugodą z Rosyą — głos publicysty jednak nie poparty przez rząd rosyjski przebrzmiał bez najmniejszego echa. Opinia kraju potępiła agitatora panslawizmu. To też dzieło jego 4-tomowe „Ostatnie chwile styczniowego powstania“ w tym czasie wydane, nie znalazło u naszej publiczności dobrego przyjęcia — widzianc je z uprzedzeniem, jakkolwiek nie ma w niem wcale panslawistycznych dążeń, bo prawdopodobnie o wiele dawniej było pisane. Praca ta nie jest nawet bez wartości, widocznem jest że autor zna dokładnie odnośną literaturę rosyjską, a ztąd i poglądy jego na rządy rosyjskie w Polsce

są dokładnie przedstawione — w ogóle praca ta jest w czytaniu interesującą, a jeżeli co można jej zarzucić, to tę okoliczność że autor mając zamiar pisanja historyi powstania styczniowego, wybrał na początek swej pracy, chwilę najsmutniejszą, agonję powstania i przedstawił nam też obraz cmentarzyska.

Po zaaresztowaniu Traugutta, nadsyłane do Warszawy przeważnie z zagranicy raporty i sprawozdania urzędników R. N. z usprawiedliwieniem, dlaczego musieli opuścić swe stanowiska i z kraju wyjechali, dostały się wypadkowo w ręce autorowi i ten na podstawie tych to dokumentów niekompletnych, bez znajomości dokładnej osób i spraw, obszerną napisał pracę, która musi pozostawić w czytelniku smutne wrażenie, często niesmak.

Opis wypadków odnosi się do tej chwili, gdy oddziały nasze po raz ostatni usiłowały z Poznańskiego i Galicyi wejść do Kongresówki, ale zaraz zostają rozbite i wracają zkad przyszły. — Miejscowe oddziały, nieliczne i małe, np. ks. Brzoski (który został dopiero rozbity w kwietniu 65 r.) nie przedstawiają żadnej siły i muszą się tylko bezustannie skrywać. Ucisk w kraju przechodzi wszelkie pojęcia — już nawet i w Kongresówce, gdy właściciel wyjechał do są-

siada bez pozwolenia a oddział moskiewski nie zastał go w domu, płaci kontrybucye. Każdy oficer najniższej rangi, porucznik nawet, jeżeli dowodzi wyprawą choćby 20 ludzi, przedsięwziętą dla łustrowania okolicy, ma prawo bez sądu wieszania i rozstrzeliwania. Berg pisze w swych pamiętnikach, że pułkownik ks. Wittgenstein, naczelnik wojenny powiatu Włocławskiego, chwalił się przed nimi, iż 72 powstańców bez wyroku rozstrzelał. Prokurator państwa w Suwałkach, który w zakresie swej władzy zrobił przedstawienie jakieś gen. Ganeckiemu, został z polecenia tegoż różgami osmagany.

W Warszawie uparcie stał jeszcze na swoim stanowisku ostatni naczelnik miasta Warszawy — niezmordowany, a śmiałości niezwyklej człowiek, Aleksander Waszkowski, były wychowaniec petersburskiego uniwersytetu, który wyraźnie szukał śmierci i złapany w grudniu 1864 r. skończył na szubienicy w lutym 65 r. Naturalnie działalność jego ograniczała się jedynie na wydawaniu bez celu żadnego różnych odezw naczelnika miasta Warszawy, które Moskwę tylko drażniły! Rządu narodowego w Warszawie już nie było właściwie. Pozostał jedynie Brzeziński, urzędnik komisji skarbu, a w organizacji naszej referent wydziału spraw wewnętrz-

nych, gorący patryota, mistyk, i wiecznie niezadowolony ze wszystkiego a który nie wiadomo jakim sposobem, zostawszy spadkobiercą pieczęci R. N. (dziś złożonej w muzeum Rapperswylskim), otrzymał przez to przywilej mianowania zagranicznych dygnitarzy, jednak ciężkim był dla niego ten obowiązek, chciał go się też wkrótce pozbyć, bo jak sam twierdzi, pieczęć R. N. zatrzymał jedynie, aby ocalić kredyt i zaufanie, jakie R. N. posiadał. Z końcem 1864 r. w Warszawie nikną wszelkie ślady rozbudowanego życia, a z tem dygnitaryat rosyjski widzi się zagrożonym i bliskim pozabawienia wysokich płac, wysyła więc rodzaj Hendygera, w osobie porucznika artylerji Kurniejewa, jak Berg pisze, na emigracyę, aby zawiązał spisek i z zagranicy przywiózł do Warszawy członków R. N.

Takie spiski prowokacyjne, w dawniejszych czasach za Paszkiewicza, dla skompromitowania więcej wpływowych w kraju osób, jak w pamiętniku swym „Dzieje Polski“ pisze Fryderyk hr. Skarbek, b. minister sprawiedliwości, nieraz urządzał gen. Storożenko, prezes komisji śledczej w Warszawie. Misja powierzona Kurniejewowi udaje się, a Moskwa uzyskuje pozór do utrzymywania nadal nadzwyczaj kosztownej policyi.

Gdy tak smutny jest stan kraju, wyszli na emigracyę nie mogą oswoić się z tem, że powstanie już ukończone. Zdolny w intrygach uczeń Mierosławskiego Kurzyna, walczy z ks. Sapiehą o władzę nad emigrantami, bo brak mu odwagi pracować w kraju — podkopuje marzycielskie bezsprzecznie zamiary wielce ofiarnego patryoty, organizatora wojennego w zaborze pruskim, Jana hr. Działyńskiego, który usiłował własnym kosztem formować nowe oddziały, przedstawiając go za narzędzie konserwatystów. Brzeziński forsuje z Warszawy jen. hr. Haukego, ks. kanonika Kotkowskiego i Gutrego do ogłoszenia jawnego R. N. za granicą. S. zbyt obszernie opisuje te sprawy emigracyjne i nadaje im za wiele rozgłosu — na co w istocie nie zasługują — a żal prawdziwy mieć trzeba do niego, że sprawę podparcia w Polsce i w Rosyi w zimie 64 i 65 łączy z emigracyjnemi mrzonkami, bo ona nie miała nic z tem wspólnego i była wytworem wprost chciwej rabunku szajki zbrodniarzy.

W „Ostatnich chwilach styczniowego powstania“ autor mówi o usiłowaniach Mazziniego i Węgrów wywołania w końcu 64 r. w Galicyi powstania, co chcieli Węgrzy zrobić kosztem naszym dla własnych interesów a co na szczęście

nie nastąpiło. Dalej obrazowo przedstawia S. rządy socyalistów moskiewskich, przysłanych dla uregulowania stosunków włościańskich, a właściwie rozbudzenia nienawiści chłopów do szlachty, zniesienie klasztorów a także daje znany już z innych źródeł opis powstania Polaków na Syberyi. Skarbowość powstania narazie dla człowieka lubującego się w opisywaniu skandalów, daje bujne pole do popisu i tej sprawie poświęca cały rozdział. W tej części jednak swej pracy na podstawie zebranych choć niedokładnych dokumentów dochodzi do wniosków, że kontrolę funduszków narodowych o ile warunki na to pozwalały, usiłowano wszędzie ściśle zastosować, że pogłoski o nadużyciach, szerzone w płatnych przez Moskwę dziennikach, są najczęściej na fałszach oparte — nadużycia w ogóle należały do rzadkich wyjątków a sprawa zmarnowania znaczniejszej sumy przez ajenta zakupna broni, Janczewskiego spowodowała głównie wszystkie podówczas głoszone skargi.

Jeżeli jednak „Ostatnie chwile styczniowego powstania“, w których autor w czarnych barwach przedstawia ówczesne czasy porównamy z „Pogromem“ Zoli, opisującym w czasie wojny francusko-pruskiej stan Francyi przodującej w cywilizacyi świata, Francyi niepodle-

głej i wielce zasobnej, z wysileniami naszego biednego kraju, to zrobiony rachunek sumienia da nam zdumiewające plusy, dobrze rokujące o przyszłości naszego narodu.

Praca ostatnia Z. L. S., która jest dziś przedmiotem naszej pogawędki, a z której sprawozdanie szan. prelegenta, z wielkiem przez Panów uznaniem zostało przyjęte — niezwykle w istocie w kraju, zwłaszcza wśród inteligencji wiejskiej wywołała zainteresowanie, a to jest tem ważniejsze, że wszystko co dotąd pisano o ostatniem powstaniu, nie znajdowało prawie czytelników. „Historya dwóch lat“ zaś rozbudziła ożywioną ciekawość, to zaś przepisywać należy przedewszystkiem temu, że jest napisana z wielkim talentem — opowiadanie faktów znanych nawet jest tak barwnem, że czytelnik nie może oderwać się od czytania. Są ustępy niepotrzebnie zbyt ostre, szarpiące nerwy, ale które najczęściej zaraz autor łagodzi i dzieje się tak, że ci, co są nazwani „katami“ lub „głupcami“ już na następnej stronię książki są traktowani z niezwykłą czcią i pochwałami.

Ponieważ autor bezwzględnie potępia nie tylko powstanie ale i ówczesne usposobienie kraju — można było spodziewać się, iż książka jego znajdzie w stronnictwie krakowskiem bezwzględną po-

chwałę — stało się jednak inaczej. W *Przeglądzie Polskim*, profesor Kleczyński przedstawia ujemne strony pracy tej i wypowiada obiektywny a głęboki sąd o ówczesnych wypadkach, wcale nie licujący z zapatrywaniem p. S. W *Czasie* p. L. Dębicki był zarówno nader skąpy w pochwałach. W *Kwartalniku historycznym* p. Lisicki, przyjaciel polityczny, bo zarówno z autorem „Historyi dwóch lat” wielbiciel margrabi Wielopolskiego, z góry, omal nie lekceważąco traktuje S. — prawdopodobnie dlatego, że tenże p. Lisickiego uważa za zbyt gwałtownego w sądach, który „wszystką winę za nieszczęścia narodowe zwała wyłącznie na stronnictwo ruchu, kiedy niestety, mówi S., historia bezstronna przyznać jest zmuszoną, że lwia część tej winy spada także i na Wielopolskiego.” Inne zaś pisma o tej książce, której wpływ na społeczeństwo może być znaczny i zgubny, nie podały żadnej oceny, ani nawet wzmianki.

W przekonaniu mojem „Historya 2 lat” (tom pierwszy) jest kopią w pięknej oprawie pamiętnika Berga, dzieł Lisickiego, a po części i Spasowicza — fotografią nawet z ciemnym kolorytem, z której jasne odbłyśki są dość starannie usunięte, a jednak, jeżeli nie ma ich wcale w pracy L., to znajdują się one

bardzo często w pamiętnikach Berga, który prawie wszystkie nasze postacie z ostatnich wypadków przedstawia sympatycznie.

Berg w czasie powstania przyjechał do Warszawy jako korespondent pism rosyjskich, następnie był profesorem na uniwersytecie warszawskim literatury rosyjskiej. W krótkim czasie przywiązał się do naszego kraju, nieszczęściom naszym okazywał zawsze współczucie, a karmił należycie nadużycia władz rosyjskich. Nie był to historyk, nawet nie rościł sobie do tego pretensyi, ale był zdolnym fejletonistą; pamiętnik jego 4-tomowy, wydany kosztem rządu, a mimo to później skonfiskowany, czyta się z wielkiem zajęciem. Berg unosi się, nie jest w stanie zachować równowagi, nie umie być sprawiedliwym, wtedy tylko, gdy mówi o Litwie i Rusi.

W wypadkach 1863 r. wielu Rosyan uważało, iż Kongresówka jest dla nich straconą, gotowi byli jej ustąpić, byle nie żądano innych części Polski przedrozbiorowej — wszak i carowa przy pożegnaniu Murawiewa, gdy tenże wyjeżdżał do Wilna, zalecała mu, jak on pisze w swym pamiętniku, aby tylko starał się utrzymać dla Rosyi Litwę. Lisicki, Spasowicz i Sulima z swoją Polską etnograficzną idą po myśli Berga.

Berg, czytając różne broszury i pisma emigracyjne, opisujące tajne związki i spiski po 1831 rok, a z drugiej strony, mając pod ręką prace Lisickiego, który wywołanie manifestacyi i powstania przypisywał Hotelowi Lambert na tej jakoby podstawie, że ks. Czartoryski zebrał u dyplomacyi europejskiej przy każdej sposobności o pomoc dla Polski, w dziennikarstwie zaś europejskiem, starając się o sympatye ludów dla Polski, przedstawiał niedokładnie stosunek kraju do Rosyi, a przeto rozbudzał jakoby nieuzasadnione nadzieje — jako cudzoziemiec uwierzył, że manifestacye przed powstaniem były istotnie tylko dziełem sztucznem emigracyi. S. zaś, mając już dwa źródła, Berga i Lisickiego, z gruntu fałszywe, jak będę mieć sposobność później uzasadnić, w swej „Historii 2 lat“, poszedł dalej i już amnestye dla sybiraków i emigracyi uznał za szkodliwą dla kraju, ona bowiem, według niego, wprowadziła do kraju, nowy ferment w licznym zastępie niepoprawnych spiskowców. Zapomniał nawet, że główny bohater jego, Wielopolski, gdyby nie amnestya Mikołaja, nie miałby sposobności wykazania swych zdolności administracyjnych, a arcybiskup Feliński nie przyjechałby do Warszawy powstrzymać manifestacye kościelne — że po-

minał względy ludzkości, które winne były autora odwieść od wypowiedzania podobnych myśli.

Berg ujemnie a zupełnie niesprawiedliwie ocenia rządy Gorczakowa, który niewątpliwie ze wszystkich namiestników był dla nas najlepszym, miał najwięcej serca. Jako Rosyanin, Berg źle widzi oddanie na czas pewien władzy w ręce delegacyi warszawskiej, wołałby, aby Gorczakow bagnetami powstrzymał lud od demonstracyi, wyrzuca mu, że nie usłuchał rad Kotzebuego, ucznia Paszkiewicza, chociaż sam dodaje, iż brak stanowczości i energii ks. Gorczakowa był wpływem odbieranych od brata kanclerza z Petersburga listów, w których radził mu tenże unikać starć z ludem, a to dlatego, żeby dyplomacya europejska nie miała powodów do wnoszenia protestów. S. z tego zapatrywania się Berga na rządy Gorczakowa, niesprawiedliwie ocenia namiestnika, co nie szedł śladem swego poprzednika Paszkiewicza i całą charakterystykę Gorczakowa z książki Berga przenosi niemal dosłownie do swej pracy.

Spasowicz w III. tomie swych prac z rosyjskiego tłómaczonym, mówi że żadna siła ludzka nie była w stanie powstrzymać powstania, była to fatalna konieczność, stworzona obietnicami rzą-

du różnych ustępstw, które jednak nie miano zamiaru wykonać. Myśl tę o konieczności powstania, która podlegać może jeszcze dyskusyi autor „Historyi dwóch lat“ podnosi dość obszernie, bez wszelkiej analizy, a przyjąwszy jako konieczność powstanie, o całym narodzie daje jednak bardzo ujemną ocenę, potępiając wszystkich, że nie oparli się owej fatalnej konieczności.

Możnaby wiele jeszcze wskazać wspólnych myśli i pokrewnych dążeń między „Historyą 2 lat“ a dziełami trzech wspomnianych autorów, gdyby mi na to pozwalał czas, i gdybym pannonów nie obawiał się zbyt znużyć — dodam więc tylko że źródła, z których S. czerpał swe materyały, są jednostronne, często błędne a w większej części wypaczone.

Berg sam nie ma pretensyi, aby to co pisał posiadało ścisłość historyczną. Starał się on bowiem z raportów rosyjskich i opowiadań dygnitarzy moskiewskich zbierać wiadomości — a ci z umysłu pozowali przed nim na bohaterów, mając nadzieję że tym sposobem znajdą jakieś odznaczenie służbowe. Dwóch więźniów: Majewski i Awejde, byli członkowie R. N., z nakazu komisji śledczej pisali w cytadeli swe pamiętniki. Majewski, jak się zdaje był

dość powściągliwy, cytował z pracy jego nie podają źródła moskiewskie, ale za to Awejda, pisał przez 2 lata, pod groźbą szubienicy wszystko co tylko wiedział, bez względu nawet na następstwa jakie mogły spotkać osoby wymieniane, napisał 4 tomy, które rząd rosyjski kazał przetłómaczyć i wydał w 30 tylko egzemplarzach, jedynie dla swoich dygnitarzy.

Otóż pamiętnik Awejdy był przewoźnią ncją dla Berga w pisaniu pamiętników — Awejde jednak został w sierpniu 1863 uwięziony, z tym więc czasem nicznie główne źródło prawdopodobnej wiarygodności, a Berg część już dalszą swej pracy opiera na zeznaniach więźniów, z tego zaś powstaje mnogość baśni. I tak np. jako dyrektor wydziału spraw zagranicznych w rządzie narodowym u Berga figuruje ks. rektor Akademii duchownej, obecnie kardynał Dunajowski, przyjaciel Wielopolskiego, a na podstawie tego krążyły też nawet wieści, że i margrabia w ścisłych zostawał stosunkach z rządem narodowym, jak z innego znów tytułu opowiadano w sferach moskiewskich, że w. książę Konstanty miał pewne czucie z naszym ruchem narodowym. Wiadomość jaką Berg podaje, powstała z następującego powodu: W Akademii duchownej był uczniem Artur Wołyński, który przez wydział spraw zagranicznych był uży-

wany do komunikowania się z ekspedyturą. Kiedyś Wołyński mając przy sobie notę R. N. dla przesłania ks. Czartoryskiemu, agentowi dyplomatycznemu w Paryżu, i to podobno przez siebie odpisaną, wstąpił do kuzynów. Wypadkiem czy umyślnie pokazał tę notę swej kuzynce, a na zapytanie tejże, zapewne żartem, odpowiedział, iż jest ministrem spraw zagranicznych, a rektor Dunajewski jest jego sekretarzem. Kuzynka napisała to bezmyślnie w swym szkolnym kajeciku i gdy później przyszła policya na rewizyę, złapała tę drogocenną dla siebie notatkę. Nic nie pomogły dane wyjaśnienia. Traugutt nie chciał wydać swoich dyrektorów, został więc zanotowany w aktach śledczych Wołyński jako dyrektor, ks. Dunajewski jako jego sekretarz. Uzuano później omyłkę, ale o tyle tylko, że dyrektorem zrobiono ks. rektora, a jego ucznia sekretarzem. Na szczęście w tym czasie wyjechał ks. rektor do Krakowa na święta wielkanocne i tylko tej okoliczności zawdzięczamy, że rektor ks. Dunajewski nie został towarzyszem Traugutta, lecz kardynałem i księciem kościoła.

Dla przyszłego historyka powstania, mimo wielu błędów, pamiętnik Berga pozostanie źródłem poważniejszego znaczenia, nie można tego powiedzieć o pra-

cach Lisickiego. Dla cudzoziemców, zwłaszcza piszących o ostatnich wypadkach dzieło Lisickiego o Wielopolskim, wydane po francusku będzie materiałem, na podstawie którego powstanie styczniowe wyjdzie w świetle zupełnie wypaczonem i fałszywem. Już i sam autor „Historyi 2 lat“, jak powyżej zaznaczyłem, przestrzega przed stronniczością namiętną L., dokładniej to jednak jeszcze uwydatniają, dwaj znakomici i uczeni nasi myśliciele.

Hr. Tarnowski w krytyce dzieła Lisickiego, nazwawszy je „nekrologiem pisanym dla rodziny“, mówi: „Margrabia według L. nie popełnił ani jednego błędu, rząd rosyjski popełnił ich cośkolwiek, społeczeństwo polskie popełniło wszystkie... Jak dla margrabi bezwzględne uwielbienie, tak znów dla wszystkiego co nie było z nim, ma p. L. jedno tylko potępienie bezwzględne“ (Przegląd Polski 1879 roku), a dalej mówi: „całość jest do czytania przykrą i niezupełnie zdrową... czytających bez sądu i krytyki, a do zwątpienia skłonnych (zwątpienie bywa czasem rzeczą bardzo wygodną) — naprowadzićby mogło na myśl, że cały dotychczas patryotyzm polski był wielkiem marnem głupstwem, a jedynem hasłem przyszłości jest „*Point de rêveries*“ — hasła zaś tego odzew

brzmiałby: „Boże caria chrani“ (Prze-
gląd Polski 1880 r).

Inny uczony, polityczny przyjaciel L., nie mniejszy od niego wielbiciel Wielopolskiego, bo porównywający margrabiego z Kościuszką — profesor Spasowicz pisze: Lisicki jest pisarzem pełnym werwy i nie pozbawionym talentu, opowiadacz z niego wyborny — pióro ma ostre; ale ta części książki, które przedstawiają nie materiały surowy, lecz opracowania, są spaczone serdeczną ku margrabiemu skłonnością i grzeszą zupełnym brakiem krytyki, nie pozwalającym nawet zaliczyć tych dwóch pamfletów uszczypliwych do rzędu poważnych dzieł historycznych. Pan L. był w roku 1863 rewolucjonistą, dziś należy do nielicznej drużyny konserwatystów i czcicieli margrabiego, którzy jego ceniom, jak świętemu cześć oddają, nie widzą w nim najmniejszej skazy, a wynosząc go pod niebiosa, potępiają ryczałtowo wszystkich jego przeciwników, przedstawiają ich jako bezwzględne zera i zaliczają do kategorii głupców lub niegodziwców. W rezultacie wywodów tkwi myśl, że istniał naród, niczem nie dający się poprawić, nie pojmujący ani swych dobroczyńców, ani własnego dobra, naród, który zatem i w obecnej porze żadnych

dodatnich o sobie nie wróży nadziei.“
(Dzieła Spasowicza III. str. 13).

O przychylność w ocenianiu powstania nikt z nas nie posądzi ani hr. Tarnowskiego, ani profesora Spasowicza, niepojętem więc jest, że wobec tak poważnego świadectwa co do namiętnej stronnicości poglądów Lisickiego, Towarzystwo wielce zasłużone, któremu chodzić winno przedewszystkiem o ocenę bezstronną faktów dziejowych, powierzyło recenzję wszystkich spraw dotyczących powstania styczniowego p. L. Do żalu więc szan. prelegenta przed chwilą wyrażonego z powodu, że Towarzystwo historyczne ma poważnych sprawozdawców z prac odnoszących się do dawnych epok historii naszej, a nie ma z ostatniej, przyłączyć się muszę.

Przedstawiwszy jednostronność i namiętną stronnicość źródeł, głównie przez S. w swej pracy zużytkowanych, wracam do „Historii dwóch lat“, która, zdaniem mojem, sądząc z 1 tomu, została wydana nie na czasie. Można zrozumieć, że w rozpaczliwych warunkach kraju znajdują się najróżnorodniejsze pomysły prac narodowych, ale one muszą mieć za sobą jakieś uzasadnienie — można więc nawet zrozumieć p. Kościelskiego politykę pruską, lecz zalecanie jakieś ugody z Moskwą w chwili, gdy

nawet główny propagator asymilacji politycznych z Rosyą, profesor Spasowicz stracił wszelkie nadzieje porozumienia się nie tylko z rządem, ale nawet z narodem rosyjskim, bo tak naród jak rząd nie uznaje kwestyi polskiej, a car bawiąc przez kilka tygodni pod Warszawą, nie chciał wcale widzieć Polaków, to sędzę, że program S. jest tylko szkodliwą fantazją.

Książka ta jest zdaniem mojem, wyrazem rozpacz, nie posuniętej tylko jeszcze do miary, jak to kiedyś uczynił minister Krzywicki w broszurze „Rosya i Polska“, który doradzał nam wyrzeczenia się nawet języka, ale jak każda rozpacz jest złym przewodnikiem, to i książka S. napisana z wielkim talentem, a więc poczytna może być dla słabszych charakterów usprawiedliwieniem moralnego upadku, a nawet zdrady, choć pisaną była prawdopodobnie z najlepszą przez autora wiarą.

Mógłbym na tem zakończyć, aby dłużej panów nie nużyć, mam jednak jeszcze kilka drobnych sprostowań faktycznych — postaram się to zrobić jak najkrócej.

Autor „Historyi 2ch lat“ przypisuje wypadki 1863 r. wpływom emigracyi. Gdyby przez to rozumiał wpływ literatury emigracyjnej i mistycyzmu jaki

z zagranicy przyszedł do kraju, a który wpłynął na wychowanie pokolenia chorośliwego z zapalem niepomiernym, bezgraniczną ofiarnością ale lekceważącego praktyczność i doświadczenia starszych, miałby za sobą wiele racyi — bez tej literatury może nie byłoby powstania, a przynajmniej nastąpiłoby później, chociaż i to także pewna, że zamiast ducha narodowego, rospanoszyłaby się w kraju zgnilizna. I z wielką słuszością też odpowiedział prof. St. Tarnowski p. Lisickiemu na jego trujące mędrkowania o poświęceniach dawniejszych naszych pracowników i znakomitości emigracyjnych, że prac ich „sukcesem jest przechowanie myśli polskiej i polskiego uczucia, które dzięki tym ludziom wszystko przetrwało i doszło aż do nas; przechowanie pamięci Polski nie w nas samych tylko, ale w świecie, który, choć nie mówi i nie dba, owszem choć się wypiera i wyrzeka, sprawy za skończoną i zamkniętą przecie do dziś dnia nie uważa“. (Przegląd Polski 1880). S. nie mówi jednak o wpływie literatury, ale twierdząc, że amnestya dla Sybiraków i emigrantów raczej szkodę jak korzyść krajowi przyniosła — myśli tylko o osobistym udziale tychże, przytaczając jako przykład niejednokrotnie nazwisko Mirosławskiego. Prawdą jest, że ów intry-

gant niepoprawny bezustannie narzucał się na przewodnika ruchu, zawiązywał z zagranicą w kraju swoje komitety, lecz jedynie z młodzieży krajowej, kaputowanej przeważnie przez Kurzynę, którą olśniewał dawnym urokiem swego nazwiska — na emigracyi nie miał już on znaczenia i poważniejszego poparcia. S. fałszywie też przedstawia jako agentów Mierosławskiego trzech byłych wychowañców kijowskiego uniwersytetu. Bobrowski bowiem był głównym w komitecie centralnym przeciwnikiem Mierosławskiego, a listy Bobrowskiego do Podlewskiego, przejęte przez Moskwę i ogłoszone w *Ruskiej Starinie*, świadczą jak był dalece zaciętym jego przeciwnikiem. Trąbczyński był przyjacielem Janakowskiego, kokietującego z wszystkimi partjami, a więc może i z Mierosławskim, lecz Tr. już w 1861 r. był zesłany do wojska w którym służył jako lekarz. Włodzimierz Milowicz wreszcie miał zaraz po zaznajomieniu się, zajście z M. i od-tąd z nim się wcale nie komunikował. Z powracających emigrantów tylko współ-redaktor *Kółko koła*, Abicht, znany ze sprawy Bärensprunga w sejmie berlińskim, został powieszony za transportowanie broni. Kilku dowódców było zwolennikami Mierosławskiego, ale w czasach manifestacyi, nikt z emigracyi nie

zajął wybitniejszego stanowiska. Sybiracy zaś trzymali głównie z kółkiem Edwarda Jurgensa, a to starało się powstrzymywać wybuch powstania.

Na gorączkowe przyspieszenie ożywienia ruchu narodowego, wpływały dwie głównie przyczyny: osłabienie wewnętrznie Rosyi, w skutek tureckiej wojny, przez co wojskowy teroryzm rozluźnił się — z katedr uniwersyteckich profesorowie wypowiadali śmiało teorye liberalne, Kołokoł, Wielikoros były wszędzie czytane, a emigracya rosyjska, gromiąca silnie nadużycia władz i dygnitarzy miała na społeczeństwo rosyjskie bardzo doniosły wpływ — zaczęły się więc tworzyć kółka i związki niezadowolonych między Rosyanami i ci sami szukali przyjaźnych stosunków z Polakami. Z drugiej strony, Napoleon III podniósł w tym czasie ideę narodowość, a z nią, dopóki nie powstała u niego myśl sojuszu z Rosyą, przyrzekał podnieść sprawę Polski. Zygmunt Krasiński w swych listach wspomina o takiej rozmowie z cesarzem — Koźmian z hr. Walewskim. Napoleon przy otwarciu sesyi Ciała prawodawczego w 1859 r. wygłosił: „interes Francyi jest wszędzie, gdzie się znajduje sprawa słuszną i cywilizacyjną“, w czem nie tylko Polacy ale i dzienniki francuskie, jakkol-

wiek o'nosiło się to bezpośrednio do księstw Naddunajskich, widziały zapowiedź podjęcia sprawy polskiej. Księżę Napoleon szedł dalej, dla zyskania popularności u francuzkich radykałów i otaczał się demonstracyjnie Polakami z obozu demokratycznego.

Wśród takiej sytuacji politycznej związał się w Paryżu komitet dla porozumienia z krajem, który przez Elzanowskiego w 1859 r. odniósł się do kółka Jurgensa, zbierającego się dla pogawędek literackich i spraw ogólniejszego interesu w salonach pani Żmichowskiej. W imieniu tegoż kółka pani Narcyza w obszernym liście, opisującym ówczesny stan kraju, odpowiedziała, że czas do tworzenia związków nie nadszedł, że wszelkie organizacye przedwczesne mają zwykle ten skutek, iż przywódców prowadzą tam, gdzie sami dojść nie zamierzali i że przede wszystkim należy się w kraju zająć sprawą uregulowania stosunków włosciańskich. Z kółka tego wyłonił się program tak zwanej pracy organicznej, będący później programem stronnictwa białych. W innych prowincjach Polski pomyslniejsze kółko emigracyjne otrzymało odpowiedzi. Na Rusi powstał — zdaje się — wtedy jeden z najpierwszych w kraju związek Trójnickiego — a to z grona tych kilku czy kilkunastu ludzi mło-

dych, co zaraz po śmierci Mikołaja, połączeni z sobą jedną myślą, starali się wpływać na młodzież uniwersytecką w kierunku moralno - naukowym i obznajmiania jej z zagraniczną literaturą emigracyjną.

W Poznaniu za inicjatywą Elżanowskiego, w początku 1860 r. doszedł do skutku zjazd delegatów różnych części kraju. Z Warszawy przyjechał Jurgens. z Litwy kapitan jeneralnego sztabu Zwierzdowski (Topor, powieszony w r. 1864), z Rusi Jabłonowski, z Galicyi spodziewany był Jan Dobrzański, ale nie przybył, z miejscowych osób w naradach przyjmowali udział Karol Libelt, Leon Wegner, Kantak Kaz. i Guttry Aleksander. Organizacyi nie uchwalono — a uznano przedewszystkiem potrzebę zajęcia się pracą nad uobywatelnieniem ludu i komunikowania sobie rezultatów podjętych usiłowań. O kółku paryskim, którego S. Elżanowski był wysłańcem, Al. Guttry w pamiętniku swym mówi: „Ludzie ci szanowni i szanowani powszechnie pojmowali zdrowo posłannictwo swoje na obczyźnie i stosunek emigracyi do kraju. To też wysłany przez nich Elżanowski nie przybył w celu zakładania sprzysiężeń, nie w myśli narzucania się wespół z towarzyszami krajowi na kierowników sprawy narodowej, ale ze

skromnym a pocziwym zamiarem pośredniczenia pomiędzy prowincjami dawnej Polski. Kraj — mówił Elżanowski — rozdzielony między trzy rządy zaborcze, nie daje patryotom możności do wzajemnego poznania się i porozumienia w sprawie narodowej. Kółko paryskie przez założenie swojego pisma (*Przegląd rzeczy polskich*) miało jedynie na celu poznać rozprószonych po różnych prowincjach patryotów, a następnie zbliżyć ich do siebie, aby wspólnemi siłami z pomocą środków, jakie w każdym zaborze uważać będą za stosowne, pracowali około podniesienia ducha narodowego“.

Gdy w 1860 r. powstała myśl formowania legionu polskiego we Włoszech. Komitet paryski, o którym wspomniałem, pod datą 14. listopada, przybrawszy nazwę komitetu funduszowego, a złożony z generała Wysockiego, Teofila Januszewicza, Józefa Ordegi, Mazurkiewicza Wincentego i Elżanowskiego Seweryna, wzywając kraj do składek, w odezwie swej mówi: „Dopóki wojna do Włoch się ogranicza, w oddziałach polskich legii zagranicznej, czy nawet legii polskiej, emigracya tylko, czy wojskowi z wojska austriackiego służyć powinni. Ludzi w kraju osiadłych lub uczącą się młodzież odwodzić będziemy od porzucenia dotychczasowych zatrudnień. I tylko

stopniowo, w miarę zbliżania się wojny do granic Polski, wdania się w nią i innych, prócz Austrii, nieprzyjaciół naszych i wyraźnego podniesienia naszej sprawy, odstępować będziemy od przyjętego prawidła.“ Tenże jednak komitet już pod datą 25. marca 1861 r. wydał okólnik, w którym donosi, że gdy kraj ma swą władzę miejscową (rozumiano zapewne delegację warszawską) i sam o sobie stanowić może, to komitet rozwiązuje się i każdy z emigracyi służyć krajowi będzie według otrzymanych z kraju rozkazów. Na dorocznej zaś uroczystości Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu 3. maja 1861 r. prezes ks. Adam Czartoryski oświadczył, że emigracya pod rozkazy kraju przechodzi, zrzekając się wpływu na bieg spraw krajowych.

Pod dniem wreszcie 29. marca 1862 r. na wezwanie Dyrekcyi obywatelskiej, Elżanowski, przedstawiciel odłamu demokratycznego emigracyi odpowiedział: „Życzenie utworzenia w emigracyi komitetu funduszowego, ogólne między nami zyskało przyzwolenie i każdy z chęcią posłucha rozkazów i zleceń pochodzących od władzy kierującej, wewnątrz kraju, sprawą ojczystą.“ Fakta te najdowodniej świadczą, iż mylné są twierdzenia, że stronnictwo spraw krajo-

wych w ostatnich wypadkach spoczywało w ręku emigracyi, — a niemniej wykazują, że ostatnie wypadki w Polsce nie były wywołane sztucznie przez jakąś tajną organizację, ale były wpływem jednolitego usposobienia całego kraju. „Ruch ten, jak słusznie mówi prof. Spasowicz, ze względu na swoje pochodzenie był mimowolny, ale powszechny; towarzyszyły mu życzenia sympatyczne wszystkich klas i stanów, bez różnicy stronnictw.“ (Życie Wielopolskiego).

W Warszawie przed wypadkami lutowemi, było wiele kółek towarzyskich, ale nie było żadnej grupy ludzi zorganizowanych, mających nad sobą władzę zwierzchnią, tworzących więc związek tajny i nadających dyrektywę rozwijającemu się ruchowi. Nie było konspiracyi jakiegoś wyłącznego stronnictwa, ale kraj cały był wysoce niezadowolniony ze stanu rzeczy i uznawał konieczność wypowiedzenia się z swych uczuć i potrzeb, — można by prawie powiedzieć, że było tylko jedno wielkie stronnictwo, niezgodne z sobą jedynie co do dróg, jakimi postępować by należało. W tym ruchu rozwijającym się był z jednej strony czynny Margrabia Wielopolski, zwierzający się szczerze li tylko swemu szwagrowi zacnemu Tomaszowi hr. Potockiemu i z wiedzą tegoż kaptujący dla

swych planów ks. Adama Czartoryskiego — z drugiej, Szachowski z Frankowskimi i innymi, prowadzący za sobą młodzież i czeladź rzemieślniczą — od nich, prawdopodobnie nie oddalał się wielce i p. Liński, (Spasowicz pisze, że był on w 63 r. rewolucjonistą) a wśród tych skrajnych przedstawicieli ówczesnej chwili stał posagowy hr. Zamojski, prezes Tow. Rolniczego, głosem ogółu uznawany za moralnego dyktatora, chętnie przyjmujący przedstawienia od Jurgensa, Kronenberga i innych, jako reprezentantów inteligencji i poważniejszego mieszczaństwa. Gdy jednak hr. Andrzej z wpływów swoich wzbraniał się korzystać, to rzucona przez kogoś, myśl wypowiedzenia dążeń i potrzeb kraju, drogą ofiar znalazła w ludności oddźwięk — nastąpiły manifestacje. Brak zaś dyrektywy dał możność ludowi rozmiłować się w demonstracyach — wytworzył stan anormalny kraju i wtedy to powstały dwa główne, a przeciwne sobie stronnictwa: białych i czerwonych, z różnemi, rzecz naturalna, jeszcze każde odcieniami.

Biali zorganizowali się najwcześniej i dość łatwo — pozostała po rozwiązaniu Tow. Rolniczego instytucja korespondentów okręgowych i komitet Towarzystwa, były podstawą nowej organizacji mającej stosunki z wszystkimi prowincjami.

cyami dawnej Polski. W grudniu 1861 r. przeprowadzono po powiatach a następnie wojewódstwach wybory i ustanowiano tym sposobem z przybraniem reprezentantów Warszawy, delegacyę Wojewódzką, a w lutym 1862 r. zmieniono takową, na tak zwaną, Dyrekcyę Obywatelską. Pierwszem z wychodzących w Warszawie pism tajnych była *Strażnica* (w Sierpniu 1861 r.), a po wykryciu drukarni tejże, wydawany był *Sternik* — pisma te reprezentowały opinie umiarkowanych.

Czerwoni byli rozprószeni na wiele kółek, a pierwszy ślad organizacyi tak zwanego stronnictwa ruchu, spotykamy dopiero w październiku 1861 r. Mam właśnie przed sobą, protokół pierwszego posiedzenia koła, z którego powstał późniejszy komitet Centralny, naturalnie, po przejściu wielokrotnych zmian i połączeniu się z innemi kołami. Pozwolę mi panowie, z tego protokołu dość wreszcie długiego, odczytać nazwiska osób uczestniczących w zebraniu, bo one rzucają światło na całe stronnictwo. Przy nazwiskach tych, dodane wyjaśnienia, jakie zajmowali społeczne stanowisko każdy z biorących udział. Protokół nosi datę 17. października 1861 r. Obecnych było 17. — manowicie: 1) Apollo Korzeniowski, literat i komedyopisarz —

zesłany do Permy na osiedlenie i tam umarł. 2) Witold Marczewski, Naczelný Inżynier kolei Warszawsko-Wiedeńskiej — zesłany do Kopolu. 3) Władysław Stroynowski, właściciel ziemski — wyszedł na emigracyę. 4) Ignacy Maciejowski (Sewer) literat — wyszedł na emigracyę. 5) Władysław Jeska, urzędnik. 6) Franciszek Godlewski, obywatel ziemski i urzędnik — zabity pod Rawa. 7) Jan Frankowski, uczeń sztuk pięknych — zesłany do kopalń. 8) Stanisław Frankowski, urzędnik — wyszedł na emigracyę. 9) Leon Frankowski, uczeń VIII. klasy gimnazyum-realnego — powieszony w Lublinie. 10) Tomasz Burzyński, wychowanec Uniwersytetu kijowskiego, urzędnik sądowy — zesłany do kopalń. 11) Ignacy Chmieliński, obywatel ziemski, później student kijowskiego Uniwersytetu — wyszedł za granicę. 12) Julian Wereszczyński, urzędnik Banku Polskiego, później student kijowskiego Uniwersytetu — zabity. 13) Stanisław Szachowski, uczeń szkoły sztuk pięknych, obecnie profesor Uniwersytetu lwowskiego. 14) Józef Oksiński, urzędnik — wyszedł na emigracyę. 15) Józef Piotrowski, urzędnik — powieszony w Warszawie w końcu 1863 r. 16) Leon Głowacki, b. wychowanec Uniwersytetu kijowskiego, nauczyciel gimnazyalny —

dostał obłąkanie na widok wieszania w Wilnie, jednego z swych znajomych. 17) Sikorski ze szkoły sztuk pięknych — zesłany. Związkwowi wybrali z pomiędzy siebie 3 ch, którym powierzyli kierownictwo robotami: 1) Apollo Korzeniowskiiego, 2) Witolda Marczewskiego, 3) Ignacego Chmielińskiego — a ci przybrali nazwę k o m i t e t u r u c h u. Jednocześnie zebrani 17-tu, jeszcze trzech powołali do swego grona: a) Bolesława Denela, urzędnika kolejowego (zabity), b) Gustawa Wasilewskiego, b. studenta kijowskiego Uniwersytetu, przebywającego za granicą (zabity), c) Bronisława Szwarca, inżyniera budowy kolei Warszawsko-Petersburskiej (zesłany był do kopalń). K o m i t e t R u c h u czynność swą rozwinął głównie dopiero po przybyciu w początku 1862 r. z Petersburga, delegata kółka wojskowych, kapitana sztabu, Jarosława Dąbrowskiego, który, jako naczelnik miasta Warszawy starał się o szybkie zwiększanie ilości sprzyśiężonych. W czerwcu 1862 r. został wydany Nr. 1. R u c h u, po pierwszy raz jednak wystąpił jawnie C e n t r a l n y k o m i t e t N a r o d o w y dopiero w wydanej 1. września 1862 r. odezwie.

Na tem kończę — widzę bowiem w gronie naszym osoby, dokładniej ode mnie oznajomi ne z rozwojem stronnictw

w Warszawie, które pewniejsze w tym względzie jak moje, będą mogły podać panom informacye.

Na tem przerwano pogadankę - odraczając dalszy jej ciąg na dzień 13. marca.

Posiedzenie drugie — 13. marca.

Przewodniczący. Przedmiotem naszego zebrania jest dalszy ciąg pogadanki nad dziełem: „*Historya dwóch lat*“. Ponieważ dzieło to wydane beziemiennie, nie wypada, aby było wymieniane nazwisko autora.

Do głosu zapisany P. Janowski.

P. Janowski. — P. Sprawozdawca z dzieła p. Sulimy — dając nam treściwy obraz tej książki, wypowiedział zarazem i własne swoje na tę pracę poglądy. — Poglądy te przyznać muszę były nadzwyczaj trafne.

Zaznaczył przedewszystkiem p. Sprawozdawca, iż w pracy p. Sulimy, przebiega niemal wszędzie pewna tendencyjność; i rzeczywiście tendencyja jest w niej bardzo wyraźna i bardzo wybitna. Pan Sulima obraz swój — zresztą bardzo żywymi i barwnymi malowany kolorami, tak oświeśla, że wszelkie możliwe cienie, padają na ówczesne społeczeństwo w całości, nie wykluczając ani jednej

jego warstwy, i tym sposobem, całe to społeczeństwo usiłuje przedstawić ujemnie — a jedną jedyną tylko osobistość, Margrabiego Wielopolskiego — podnosi i apoteozuje, przypisując mu, wszystkie przymioty, jedynego polskiego męża stanu i patryoty. Usiłuje przedstawić, że ten wielki mąż stanu, nie mógł nic zrobić, bo całe społeczeństwo, było tak zrewoltowane, oszołomione, obalamucone, rozbukane, że głos rozsądku i przezornej a mądrej polityki Margrabiego, nie tylko nie mógł w niem znaleźć żadnego posłuchu, ale przeciwnie wszędzie znajdował opór.

W tem właśnie leży tendencya tego pierwszego tomu „Historyi dwóch lat“. Wprawdzie w opowiadanych wypadkach, Margrabia Wielopolski nie odgrywa jeszcze żadnej wybitnej roli, i prawdę powiedziawszy, można było, spisując te wypadki, wcale nawet o Margrabim nie wspominać, — ale p. Sulimie wyraźnie zależało na tem — żeby w umysłach czytelników, przygotować dostateczny grunt do ocenienia działalności Wielopolskiego wówczas, gdy tenże na szeroką widownię wystąpi.

Pan Sulima pracę swoją oparł na faktach prawdziwych, lecz komentując je, prawdę w nich zawartą do swoich nagiął poglądów.

Na początku dzieła podaje spis materiałów na których opowiadanie swoje oparł i przy każdym podanem źródle, kilku słowami określa wartość jego historyczną... I tu już spostrzedz łatwo tendencję, bo źródła, które aczkolwiek są rzeczywiście pewnymi i najzupełniej wiarogodnymi — lecz nie są mu dogodne — wskazuje jako mętne, niepewne, nie posiadające poważnego znaczenia.

Tak np. ocenia wszystkie podane tam przez Agatona Gillera, do tej epoki odnoszące się. Przeciwnie zaś wyraża się o takich materiałach, które znane są powszechnie jako stronnicze, lecz które były mu na rękę i dogadzały jego sposobowi przedstawienia rzeczy — np. dzieła pana Lisickiego — które jak wiemy są apoteozą Margrabiego Wielopolskiego — nazywa źródłem arcypoważnem i najzupełniej wiarogodnem.

Między innemi źródłami, wymienia także p. Sulima „Rzecz o powstaniu“, napisaną przez Berga, dodaje jednak że dzieła tego nie czytał. Chcę wierzyć, że tak jest istotnie, lecz rzecz szczególna, że czytając „Historję dwóch lat“, spotyka się bardzo wiele ustępów — jakby żywcem i dosłownie przetłómaczonych z Berga. Dziwne zaiste, że Polak może dojść w sędzie o wypadkach polskich

do tych samych zupełnie poglądów, które się wytworzyły w umyśle Moskala.

Zgodność ta jednak, jakkolwiek przykra dla czytelnika, nie jest drażniącą i możnaby ją panu Sulimie darować, gdyby w komentowaniu dalszem tych zgodnych zapatrywań, nie poszedł pan Sulima znacznie dalej od Berga. Berg jest bezstronny, jest przedmiotowy; Berg niezapala się do naszych ideałów — ale je szanuje, nie uraga im, nie rzuca słów niemal przekleństwa na tych, którzy ukochawszy te ideały, zdolni byli nawet życie dla nich ponieść w ofierze. Pan Sulima dla takiej miłości Ojczyzny, ma tylko słowa szyderstwa. Sama myśl o wolnej niepodległej Polsce — o granicach z roku 1772, wyprowadza pana Sulimę z równowagi — nie ma słów dla jej potępienia; męczenników i wyznawców tej idei, mianuje niepoprawnymi katami własnej Ojczyzny. To co dla każdego Polaka jest najdroższem a powinno być zadaniem i celem życia, dla pana Sulimy jest zbrodnią matkobójstwa.

Mając tak liczne materyały, mógł był pan Sulima pracę swoją uczynić źródłową i bardzo cenną. Jest ona poniekąd taką, ze względu na zebrane po raz pierwszy w jedną całość wypadki, lecz oprócz tych wstętnych niemal dla Polaka wyrażań i poglądów, o których dopiero co mówiłem znajdują się tam

jeszcze rzeczy, podane jako fakta prawdziwe, które zupełnie nie istniały. Pan Sulima utrzymuje, że jeszcze przed rokiem 1861, kraj cały był podminowany spiskami. Że Emigranci i Sybiracy, powracający do kraju wskutek amnestyi, wiele się bardzo przyczynili i współdziałali nawet w tworzeniu tych spisków i zrewolucjonizowaniu całego społeczeństwa.

Wszystko to jest tendencyjnie przez pana Sulimę wymyślonem.

We wszystkich wypadkach, poprzedzających rok 1861, jak i późniejszych brałem bardzo czynny udział, a opierając się na własnych wspomnieniach, postaram się udowodnić, że twierdzenie pana Sulimy są nieprawdziwe.

Pan Sulima, zaczyna swoje opowiadanie od śmierci Ciała Mikołaja. i czyni to bardzo słusznie, bo rzeczywiście wypadek ten stanowi epokę.

W chwili gdy Car Mikołaj umierał, cała część Polski, zaborem Moskiewskim zwana, pozostawała w zupełnem odrętwieniu, przerażeniu, że tak powiem. Srogie panowanie tego despoty, doprowadziło społeczeństwo polskie do takiego stanu, że każdy, nie tylko przestał prawie myśleć o Polsce, ale bał się niemal własnego cienia. System policyjno-spiegowski, tak się rozpanoszył, że zaufanie

wzajemne zupełnie prawie zginęło. Obawiano się prawie myśli własnych, by ktoś z oczów ich nie wyczytał. — Tak ta groza Mikołajowska, wżarła się w serca i dusze polskie w owej epoce.

Gdy się nagle rozeszła głucha wieść, że car Mikołaj nie żyje, nie chciano temu wierzyć, obawiano się powtarzać głośno, podejrzewając w tem jakąś szpiegowską sztuczkę. Pamiętam, iż dnia tego, ojciec wróciwszy wieczorem do domu, zwołał nas wszystkich w rodzinie do odosobnionego pokoju, a pozamykawszy starannie drzwi, półgłosem, szeptem prawie, udzielił nam tej wiadomości, a gdyśmy wielką okazali radość, zlekł się i ostrzegł, byśmy dalej o tem nie mówili. Szczęściem, że noc nastała, a rano następnego przyniósł urzędowe tej wiadomości potwierdzenie.

Mikołaj umarł, ale system pozostał, pozostał Paszkiewicz, pozostało znane ówczesne abecadło „Abramowicz, Baty, Cytadella“. Ze stanu też odrętwienia i przerażenia, nie tak prędko naród zaczął wychodzić, i jakkolwiek wojna krymska, poruszyła nieco umysły, to dopiero ostateczne zwycięstwo sprzymierzonych, zaczęło budzić uspione nadzieje, jakieś przelotne blaski nowego życia zaczęły się pojawiać na zaciemnionym, wspomnieniami Mikołajewskimi, horyzoncie.

Zapowiadziany w roku 1856 przyjazd do Warszawy Cara Alexandra II. obudził powszechne zajęcie. Miał on opinię człowieka uczciwego i liberalnego, i na tej to podstawie, budowano wielkie nadzieje, zmiany systemu i reform. Nadzieje te jednak, w najskrajniejszych umysłach nie sięgały dalej, jak do przywrócenia stanu z przed roku 1831. Myśl o wolności, niepodległości, nie poświatała w żadnej głowie.

Z wielkim zapamięł przyjmowano Alexandra. Zjazd obywatelstwa był nadzwyczaj liczny. Szlachta dawała bal. Jako młody adept architektury, w charakterze pomocnika Architekta i profesora Boleśława Podczaszyńskiego, kierującego przygotowaniem apartamentów balowych, w pałacu dawniej Radziwiłłów na krakowskiem przedmieściu, miałem sposobność być na balu i wszystko doskonale widziałem. Apartamenta Cesarskie były na I-em piątrze, na parterze zaś, na tarasie pałacowym od ogrodu, urządzono wielką salę jadalną, w której do trzystu uczestników jadło kolację. Nagle Car ukazał się w progu sali. Wszyscy zerwali się z miejsc; kielichy podniosły się w górę, a potężny okrzyk „Niech żyje król“, rozległ się w pałacu. To ukazanie się Cara, tak zapaliło umysły, że nie wiele brakowało, a poniesiono by Cara

na rękach. Car szybko się cofnął i bal opuścił.

Nazajutrz szlachta przedstawiała się Carowi w Łazienkach. Car w przemowie swojej, rzucił pamiętne słowa „*point des réveries*“ i dodał, że system przez ojca, wprowadzony był dobry i że on będzie umiał karać i to surowo karać.

Dumne i groźne słowa carskie, lotem błyskawicy rozbiegły się po całym kraju, i wywarły wręcz przeciwny skutek, niż car zamierzał osiągnąć. Po słowach carskich dopiero, przypominano sobie, że kiedyś walczono o coś więcej, jak o konstytucję, że walczono o wolność i niepodległość. Więc teraz zaczęto myśleć o tej wolności i niepodległości. Umysły się obudziły, serca zabiły, szczególnie młode. Uczuto potrzebę zbliżenia się, łączenia, wspólnej pracy, nauki. Pierwsze też kółka, ten miały naukowy towarzyski charakter.

Pozbawieni za Mikołajewskich rządów, wszelkich środków kształcenia się w dziejach ojczystych, oddzieleni jakby murem od zagranicznego świata, teraz gdy zwolniono nieco więzy, gdy cenzura stała się nieco łagodniejszą, chwytałyśmy wszystko, co tylko mogło dostać się do kraju, aby się zapoznać z życiem i pracą narodową na emigracyi, o których tylko głuche i niewyraźne mieliśmy wiado-

mości. Wzajemne kształcenie się było cechą pierwszych tworzących się między młodzieżą kółek, a z cechą tą przetrwały kółka prawie aż do wypadków roku 1861.

Jedno z pierwszych takich kółek, związało się między młodzieżą ówczesnej szkoły sztuk pięknych, do której jako uczeń architektury uczęszczałem, i naturalnie do kółka tego należałem. Zbiegaliśmy się albo u kolegi Edwarda Kaplińskiego, albo też u mnie.

Na zebraniach u pani Noskowskiej, żony rejenta, znanej w owym czasie wyznawczyni mistrza Towiańskiego, garnęło się też bardzo wiele młodzieży. Gdy raz młodzież weszła na tę drogę, korzystała z każdej okoliczności, by tylko zaspokoić rosnące coraz bardziej pragnienia patryotyczne.

Bractwo „Róży“, założone przez kapucyna ojca Honorata, znalazło też bardzo licznych adeptów. Bractwo to pierwotnie o charakterze czysto religijnym, bardzo prędko przybrało oprócz tego cechę patryotyczną, bo religja i patryotyzm, w owym czasie były dla młodzieży synonimami.

Później znacznie, bo już w roku 1858, zebrania u Narcyzy Zmierzchowskiej, na tak zwanej „Miodogórze“, były ogniskiem patryotycznego życia. Narcyza Zmierzchowska, wywierała urok niesłychany, na

wszystkich bez wyjątku, co się do niej zbliżali. Zebrania też u niej były prawdziwą szkołą pratriotyzmu dla młodzieży; zgromadzali się tam wszyscy, co głębiej i goręcej czuli i myśleli. Zupełną nieznajomość Zmiechowskiej zdradzałby, kto by przypuszczał, że z koła jej, wychodziła choćby tylko zachęta do spisków. Zmiechowska była im wprost przeciwna. Ona chciała pracy powolnej, wytwarzającej siły i zasoby narodu, moralne i materialne, chciała pracy nad ludem, by zyskać dla Polski miliony nowych obywateli, świadomych swych praw i obowiązków, pragnących wolności i niepodległości i zdolnych do poświęceń dla ich zdobycia. Zmiechowska nie wyrzekała się myśli powstania, lecz nie chciała dążyć do niego drogą spisków, które według niej, tylko nieszczęście na Ojczyznę sprowadzały. Zgromadzenia więc u niej nie mogły być szkołą spisków.

Gdy w roku 1857 otworzono w Warszawie medyko-chirurgiczną akademię, przybyło bardzo wiele młodzieży, która kółka nasze zasilila nowym żywiołem; nie wpłynęło to jednak ani na zmianę ich charakteru, ani na zmianę programu, wzajemnej pracy i nauki, z celem zdobycia podstaw do odbudowania wolnej niepodległej Polski.

Że myśl o wolnej i niepodległej Polsce, zajmowała nasze umysły a ogrzewała serca, tego zapierać nie myślę, jak zarazem muszę przyznać, że w dysputach naszych, uprzytomnialiśmy sobie i ten ostateczny cel, że sprawa wolności Polski tylko przez powstanie może być rozstrzygnięta. Chwila ta jednak, wydawała się nam tak odległą, że o przygotowaniu się do niej przez tworzenie związków, nie tylko nie mówiliśmy, ale nawet nie myśleliśmy.

Że Moskałe, gdyby o naszych zebraniach i pracach wiedzieli, uważaliby je za bunt i zdradę stanu, toby wcale nikogo nie dziwiło, bo z ich moskiewskiego stanowiska byłoby nawet naturalnem; ale że pan Sulima, Polak, za takie je uważa, że je potępia, że w nich widzi początek, jak powiada, klęsk na Polskę spadłych, to zaiste trudno zrozumieć i tylko najłagodniej, tendencyą wytłómaczyć by to sobie można.

Powiada pan Sulima, że wskutek amnestyi przez cara Aleksandra ogłoszonej, powrót do kraju emigrantów i sybiraków, wniósł ferment i przyczynił się do zrewolucjonizowania społeczeństwa, że ci „wytrawni spiskowcy“, bardziej jeszcze roznamiętniali i pchali młodzież do spisków i organizacyi.

Wątpię bardzo, czy pan Sulima, w tych wszystkich materyałach, na których oparł swoją pracę, choćby jeden na to dowód znaleźć potrafi. Jest to jego sąd własny, dowodzący — nie chcę powiedzieć złej wiary — ale zupełnej nieznamomości, tych powracających emigrantów i sybiraków, nieznamomość charakteru tych ludzi i stanowiska, jakie w społeczeństwie zajęli.

Chcąc zrozumieć znaczenie społeczne i polityczne powracającej do kraju emigracyi, potrzeba sobie uprzytomnić, jak emigracya wszelkich odcieni przyjęła amnestyę carską. Emigracya odrzuciła ją z pogardą. Wszystkie stronnictwa, Czar-toryszczyzna, Demokracja i Towiańczycy, wydali swoje protestujące przeciwko amnestyi manifesta. Nikt też z emigrantów, zajmujących na jakimkolwiek bądź polu, wybitniejsze stanowiska, z amnestyi nie korzystał. Powracający należeli po większej części do wychodźstwa z lat 46, 48 i późniejszych; ze starej emigracyi powracali ludzie mniej hartowni, słabych przekonań, żołnierze, niżsi oficerowie. Przyjechało także wielu inżynierów, których kompania francuzka zaangażowała do budowy kolei żelaznej Petersbursko-Warszawskiej. Powracali oni dla chleba, lecz niepotrzebowali upokarzających dawać prośb i podpisywać deklaracyi, bo

otrzymywali pozwolenie przyjazdu na żądanie kompanii i jako jej urzędnicy. Czyż ludzie bez wpływu, znaczenia, a napiętnowani odstępstwem, porzuceniem zakonu, że się tak wyrażę, za jaki się prawie emigracya uważała, mogli jakkolwiek wpływ, na rozwijające się samodzielnie życie w kraju wywierać? Faktycznie nieliczne tylko wyjątki, prawie jednostki, które się z czasem bliżej wżyły w stosunki i zyskały zaufanie, brały udział w pracach i późniejszych już znacznie ruchach narodowych, a może nawet dopiero w samym powstaniu. Mogę o tem sądzić, bo pomiędzy powracającymi, był mój stryj rodzony, emigrant z roku 1831, i wiem jak był w rodzinie uważany.

Powrót sybiraków do kraju, rozpoczął się dopiero w samym końcu 1857 roku i trwał przez cały rok 1858. Sama już ta okoliczność wskazuje, że ci powracający sybiracy, na stosunki polityczne w kraju w latach 56, 57 i 58 żadnego wpływu mieć nie mogli. Byli oni znanadto poważni, znanadto rozważni i wytrawni, by się mieli odrazu rzucać, w wir życia, które dla nich było obcem. Stosunki, jakie w chwili powrotu zastali, były zupełnie odmienne od tych, w jakich oni żyli i działali, i na wygnanie zostali skazani.

Pan Sulima nazywa ich „wytrawnymi spiskowcami“ i jako takim każe odgrywać rolę, podżegaczy spisków. Tymczasem było zupełnie przeciwnie, oni byli wytrawnymi i doświadczonymi ludźmi, i ta właśnie ich wytrawność, nakazywała im spisków unikać. I rzeczywiście wszyscy sybiracy byli zwolennikami, tak zwanej wówczas pracy organicznej. Na zebraniach kółek naszych i to dopiero z końcem roku 58, a właściwie nawet w roku 59, zaczęły bywać jednostki, których nazwiska łatwo mi podać: Mateusz Gralewski, Szymon Tokarzewski, Gerwazy Gzowski i wreszcie Agaton Giller. Ot razem czterech na kilkuset.

Mieli za to Sybiracy swoje zebrania, tak zwane „Szabasy“. I na te zebrania pan Sulima rzuca swoje anatema. Powiada, że na tych zebraniach, rozprawiano o potrzebie wzmocnienia ducha narodowego, o potrzebie pracy narodowej, że wreszcie mówiono o spiskach. Bywałem czasami na tych zebraniach, wprowadzony przez późniejszego mego szwagra Adama Grossa, sybiraka i muszę przyznać, że tam o tem wszystkim rozmawiano, bo rozprawiano w ogóle o wszystkich najżywotniejszych kwestiach, politycznych, społecznych, a nawet naukowych, któremi wszystkie wyższe, poważniejsze umysły, wówczas się

zajmowały. Rozprawom tym przyświecała najczystsza, najgorętsza, idealna miłość Ojczyzny i pragnienie jej dobra.

Szkoda wielka, że pan Sulima, zapewne bardzo młody wówczas, na tych zebraniach nie mógł bywać, byłby był wiele skorzystał, a przede wszystkim, byłby się nauczył tej właśnie miłości Ojczyzny i byłby może jej dzisiaj nie wyszydzał, a tych czystych jak łza mężów, nie nazywał „katami własnej Ojczyzny“.

Gdyby pan Sulima chciał był sumiennie studja nad ową epoką przeprowadzić, za nim sąd swój o niej ogłaszał, byłby się był starał, zbliżyć do żyjących dziś jeszcze w Warszawie sybiraków, a dowiedziałby się od nich prawdy i miałyby może tyle sumienia, że byłby się powstrzymał od wydanego dziś sądu choćby ten sąd był mu potrzebnym, do tych ubocznych celów, jakie sobie wytknął, pisząc swoją „Historję dwóch lat“.

Pan Sulima twierdzi dalej, że emigracya z za granicy, wpływem swoim, zachęcała do spisków i pchała do powstania. Muszę tu znowu przytoczyć fakta, które panów przekonają, że i w tem twierdzeniu jest zaledwie drobniutka cząsteczka prawdy.

Gdy wskutek zatargów, powstałych w roku 1859 w Akademii medyko-chirurgicznej między studentami i rektorem, wydano z Akademii dwóch studentów: Kurzynę i Jaśniewskiego, rzucono myśl, żeby drogą składki w kółkach zebrał fundusze na wysłanie obu relegowanych za granicę, a to dla zawiązania przez nich bliższych stosunków z emigracją, a w szczególności z towarzystwem demokratycznym. Obok tego zaczęto nadto przebąkiwać o potrzebie zawiązania tajnego stowarzyszenia. Było to już w roku 1860 na początku. Muszę tu przypomnieć, że towarzystwo demokratyczne w owej epoce już tylko wegetowało i to tylko wspierając się na swej świetnej przeszłości. Prezesem towarzystwa był generał Ludwik Mierosławski.

Projekta takie jak wyżej wspomniałem, wywołały gorącą dyskusję w kółkach i znakomita większość oświadczyła się przeciw.

Przeciwnicy zawiązania bliższych stosunków z emigracją, uznając się w zupełności za wychowanców towarzystwa demokratycznego, za spadkobierców jego prac i usiłowań, uważali jednak, że towarzystwo demokratyczne wypowiedziało już swoje ostatnie słowo; że słowo to przyjęło się na gruncie polskim, i wyrobiło w zupełnie swojską polską demo-

kracyę; że demokracja ta powinna się dalej rozwijać samodzielnie, po za wpływami towarzystwa demokratycznego. Wpływ ten nawet uważano poniekąd za szkodliwy, bo pochodziłby od ludzi, którzy przez tak długie lata oddaleni od kraju, dziś nie mogli znać dobrze ani stosunków naszych ani potrzeb kraju. Wpływu tego nie chciano tem więcej, że już go uczuwano, w onym projekcie zawiazania tajnego związku, z którym narzucał się generał Ludwik Mierosławski. Myśl związku rzucił pewien młody człowiek, wielki zwolennik generała, który po kilkumiesięcznym pobycie w Paryżu, powrócił był do Warszawy i propagandę swoją między nami rozpoczął.

Generał Mierosławski, przeważnie nie cieszył się wielką sympatją w ówczesnych kołach młodzieży. Buńczuczne jego mowy wygłaszane w Paryżu, którym pan Sulima tak wielki wpływ przyznaje, czytaliśmy chciwie i ciekawie, jak w ogóle wszystko co z emigracyi pochodziło, lecz umieliśmy odróżnić myśl głęboką od blichtru i frazesu, nie mogły więc te mowy wywierać na nas wpływu, nie mogły mieć takiego znaczenia, jaki im pan Sulima przypisuje.

O przemianie naszych różnych kółek na związek tajny, wcale dotąd nie myśleliśmy, i to może zawdzięczaliśmy

wpływowi sybiraków: to też myśl zawiązania takiego związku, nie mogła znaleźć przychylnego przyjęcia, tem więcej, gdy myśl ta nie wyłoniła się na rodzinnym gruncie, nie wypływała z potrzeby, z logiki wypadków, lecz przychodziła z zewnątrz, jako narzucona i to przez generała Mierosławskiego. Odrzucenie tej myśli przez większość było więc naturalnem.

Skutkiem tego nastąpiło rozdwojenie w kółkach. Mniejszość usiłowała związać się w tajne towarzystwo, ale były to usiłowania efemeryczne, jakby jednodziówkowe, które do rzeczywistego związku nie doprowadziły.

Widzicie więc panowie, jak prawdziwemi są twierdzenia pana Sulimy, o onych wpływach emigrantów, sybiraków i emigracyi na rozwój wypadków w Warszawie, na owo zrewolucjonizowanie społeczeństwa; jak prawdziwą jest baśń o tajnych sprzysiężeniach młodzieży. Pan Sulima lubi, luźne wypadki uogólniać, gdy mu to do jego celów potrzebne. Ponieważ paru emigrantów pozyskało zaufanie patriotów, a czterech sybiraków zbliżyło się do młodzieży, więc mówi się, że emigranci i sybiracy, „ci wytrawni spiskowcy i niepoprawni marzyciele“, pchali młodzież do spisków i do powstania. Ponieważ Mierosławski

przez swoich adherentów w Warszawie zamieszkałych, usiłował utworzyć związek tajny, dla tego, żeby być tego związku naczelnikiem, więc to się nazywa, że emigracya wywierała zgubny wpływ rewolucyjny. Ale zapomniał albo nie wiedział pan Sulima, że wpływ jenerała Mierosławskiego, tak w roku 1860, jak i później, jak i przez cały czas powstania był zawsze ujemny, destrukcyjny, wicherzący.

Co do spisków zaznaczam, że myśl związku powstała pierwszy raz dopiero w r. 1860, że usiłowania jednak spełzły na niczem. Pan Sulima wie o tem doskonale, bo nawet dosyć obszernie opisuje te usiłowania, wymienia nawet nazwiska tych osób, które składały pierwszą władzę probowanego związku, władzę zwaną „kapitułą“. Lecz pan Sulima zapomina o tem dalej i luźnym kółkom młodzieży przypisuje charakter i działania tajne, konspiracyjne. W kółkach tych chce koniecznie widzieć tajne sprzysiężenie.

Za objaw zewnętrzny tego sprzysiężenia, uważa pan Sulima i przygotowaniami, obmyślaniami manifestacyami nazywa, nabożeństwo w r. 1859 za Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, oraz pogrzeb jenerałowej Sowińskiej w r. 1860. Ależ panowie, kto zna Warszawę, kto

zna usposobienie jej mieszkańców, a sądzę, że panowie znacie je dobrze, to łatwo zrozumiecie, że dla takich objawów, nie potrzeba było aż tajnego sprzysiężenia. Trzeba było dobrej woli kilku studentów akademii medyczno-chirurgicznej, ażeby zamówić nabożeństwo w kościele, a patryotyzm mieszkańców Warszawy (którego pan Sulima strawić nie może), dopełnił reszty. Do tłumnego oddania hołdu wdowie po jenerale Sowińskim, bohaterze Woli, wystarczyły zupełnie zwykłe kartki pogrzebowe i kronikarska wiadomość podana w Kurjerze Warszawskim i znowu patryotyzm dopowiedział Warszawiakom, że powinni spełnić obowiązek i przez oddanie czci wdowie, oddać cześć pamięci wielkiego bohatera.

Za dzień 29. listopada 1860 roku dostała się też młodzieży warszawskiej od pana Sulimy kolosalna nagana, z dodatkiem nazw: „warchołów“, „smarkaczy“, „ludzi katylinarnej exystencyi“, itp. A było rzeczywiście za co. Młodzież chciała po raz pierwszy od lat trzydziestu, uczcić na polskiej ziemi pamiątkę wielkiego, narodowego porywu. Rano więc zamówiła nabożeństwo żałobne w kościele Karmelitów na Lesznie i to w tym właśnie kościele, a nie w innym, bo w klasztorze przy nim było przed

rokiem 1830 więzienie dla przestępców politycznych, tam pokutował Łukasiński i wiele, wiele innych ofiar brutalności W. X. Konstantego. Tego samego dnia o zmierzchu, oświetlono figurę N. Panny przed tymże samym kościołem i odspiewano „Suplikacye“, a wreszcie, i to zapewne najgorsze przestępstwo dla pana Sulimy, rozchodząc się, odważono się zaśpiewać na ulicach Warszawy „Jeszcze Polska nie zginęła“. Oto są zbrodnie przez młodzież w dniu tym popełnione.

Cóż o nas dziś starych i poważnych myśli sobie pan Sulima, za nasze obchody 50-letniej rocznicy listopadowej i 100-letniej rocznicy 3. maja? Może jeszcze dosadniejsze znajdzie dla nas epitety, a już co najmniej do czubków chyba nas zakwalifikuje.

Na tem kończy się tom pierwszy „Historii dwóch lat“. Sądzę panowie, że dostatecznie wykazałem tendencyjność tej pracy i nieprawdy w niej zawarte i mógłbym na tem zakończyć. Lecz zapomniałem jeszcze wspomnieć o Towarzystwie rolniczem, a przy tem pozwolić mi jeszcze panowie, dorzucić kilka uwag, które może tylko pośrednio odnoszą się do przedmiotu, który nas zajmuje.

W końcu roku 1858 z mocy ukazu zawiązanem zostało Towarzystwo rolni-

cze. Nie chcę tutaj przedstawiać panom, rozwoju i działalności tej instytucji jako takiej, boć to wszyscy bezwątpienia doskonale znacie. Mówić jednak o niej muszę, choćby dla tego, że p. Sulima nią się zajmuje, a zajmuje się naturalnie po swojemu.

W Towarzystwie rolniczym znalazło swój wyraz i skupienie stronnictwo konserwatywne, albo inaczej stronnictwo pracy organicznej. Jakkolwiek p. Sulima w owej już porze mówi wyraźnie o dwóch stronnictwach, o jednym spiskującym a drugim konserwatywnem, które nazywa „klemensowczykami“, (o tej nazwie dowiedziałem się pierwszy raz z książki p. Sulimy), jednak faktycznie, biorąc słowo stronnictwo, w ścisłym jego znaczeniu, to istniało tylko jedno stronnictwo, a powstało ono właśnie z chwilą zawiązania Towarzystwa rolniczego, w którym jak już powiedziałem, ludzie przekonani konserwatywnych, znaleźli w niem swój wyraz, skupienie i organizację. Bez organizacji nie ma stronnictwa, jest tylko materiał luźny, są jednostki jednych i tych samych przekonań.

Zdawałoby się, że Towarzystwo rolnicze, jako wyraz konserwatywnych zasad i kierunków w pracy, powinno było zadowolić p. Sulimę i zyskać jego względy. Ale gdzie tam, wyraźnie trzeba

było p. Sulimie przygotować sobie grunt do przyszłej zapewne obrony margrabiego Wielopolskiego, bo i Towarzystwu nie darował.

Zarzuca mianowicie Towarzystwu, że usiłowało sobie nadać charakter politycznej reprezentacji kraju; jako stronnictwu zaś zarzuca, że nie było szczerze konserwatywnem, bo jakkolwiek nie spiskowało, to jednakże w głębi duszy, w tajnikach serca, myślało o niepodległości Polski, o powstaniu i w tem było zgodnem z tem drugim stronnictwem spiskującym, które właściwie tylko w fantazji p. Sulimy istniało. Zapomniał o tem p. Sulima, że każdy uczciwy Polak, do jakiegokolwiek politycznej barwy należy, o niepodległości Polski myśleć i dla tej niepodległości pracować powinien. Idziemy po różnych drogach, ale wszyscy do jednego zmierzamy celu, u tego celu zejść się kiedyś daj Boże musimy. Ubolewać tylko możemy nad p. Sulimą, że on tego celu w życiu nie ma, a nawet gorzej, że ten cel potępia.

Zawiązanie Towarzystwa rolniczego, przyjęte było w całym kraju z radością. Zainteresowało wszystkich myślących, a więc i w kółkach młodzieży, zainteresowanie to znalazło swój wyraz.

Towarzystwo zrozumiało doskonale swoje zadanie podniesienia ludu wiej-

skiego, pracę też swoją w tem kierunku rozwinęło. Znaczenie Towarzystwa i zajęcie się nim, wzrosło jeszcze więcej, kiedy w r. 1859 dozwolonem mu zostało urzędownie zajmować się sprawą usamowolnienia i uwłaszczenia ludu.

Młodzież, przejęta na wskrós zasadami towarzystwa demokratycznego, gorąco się zajmowała w kółkach swoich sprawą włościańską, jako najważniejszą częścią programu demokracji polskiej. Zajmowanie się to jednak miało cechę tylko dyskusyi akademicznej, instruktywnej, gdyż do wprowadzenia jej w życie młodzież nie posiadała ani środków, ani prawa, ani możności. Z radością też powitaliśmy prawo, oddające tę tak ważną sprawę w ręce instytucji tak poważnej i tak patriotycznej. Jakkolwiek uchwały Towarzystwa, miały mieć tylko charakter doradczy, zawsze to jednak podnosiło jego powagę i znaczenie.

Nie tylko młodzież, ale wszyscy ludzie gorętsi i o przyszłość Polski myślący, a demokratycznie usposobieni, uznawali powszechnie, że tylko przez zupełne usamowolnienie i uwłaszczenie ludu wiejskiego, sprawa włościańska może być rozstrzygniętą stanowczo i z pożytkiem dla Polski.

W łonie Towarzystwa mniejszość podzielała to zapatrywanie, większość była

mu przeciwną, to spowodowało pewne przewleknięcie sprawy.

Wielka szkoda, że Towarzystwo nie załatwiło tej sprawy prędko i w kierunku, za którym opinia publiczna niedwuznacznie się oświadczała. Prawie na pewno twierdzić można, że wypadki zupełnie inny wzięłyby obrót. Przez uwłaszczenie włościan, otworzyłoby się obszerne pole do dalszej pracy nad wykształceniem i uobywatelnieniem wiejskiego ludu. Najgorętsze pragnienia młodzieży byłyby spełnione, a prace jej i usiłowania zwróciłyby się w tym kierunku. Opatrzność zrządziła inaczej.

W miesiącu lutym 1861 roku miało się odbyć walne zgromadzenie Towarzystwa rolniczego, na którym sprawa włościańska miała być rozstrzygniętą. W tej samej porze przypadała rocznica bitwy pod Grochowem. Obchód tej rocznicy był pierwszą manifestacją obmyślaną i ułożoną naprzód, bo przygotowywano się i dyskutowano o niej przez kilka tygodni.

Wypadki d. 25. lutego na Starem mieście znane są panom. Znane są również wypadki d. 27. lutego, które przyszły zupełnie niespodziewanie i zmieniły postać rzeczy. Uchwała Towarzystwa, stanowiąca w zasadzie uwłaszczenie włościan, przyszła zapóźno, nie mogła już

ona ani tak zająć umysłów, ani ich zwrócić z drogi, na jaką pchały je okoliczności.

Jakby na nieszczęście Polski, zjawia się prawie równocześnie na widowni politycznej człowiek pyszny, ambitny, doktryner polityczny, nieznający kraju, jego potrzeb i przekonań, nie starający się go poznać, ale przeciwnie narzucający mu swoje przekonania, swoją politykę, politykę przeciwną tradycyom, dążeniom i aspiracyom narodu. Domyślacie się panowie, o kim mówię. Tym człowiekiem był Aleksander hr. Wielopolski, margrabia Myszkowski, znany dotąd w Polsce, jako zacięty procesowicz i ostry szermierz pióra, z politycznych zaś przekonań, jako autor „Listu otwartego szlacheica polskiego do ks. Metternicha“. Oto były z przeszłości rekomendacye margrabiego, dla którego p. Sulima pali kadzidła pochwał, a całe społeczeństwo potępia.

Znane są panom następne wypadki. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, rzeź 8-go kwietnia, przemowa dnia następnego do sądownictwa, potem przemowa do duchowieństwa. Oto są pierwsze kroki nowego dygnitarza, w którego rękę spoczęły losy Polski. Zaślepiiony pychą, idzie przebojem, drażni, jątrzy, wreszcie cały naród przeciwko sobie

oburza. Jak wielkiem było to oburzenie, jak silnie poczuło niebezpieczeństwo, płynące z polityki brutalnej i antinarodowej margrabiego, dowodzi, że prawie zaraz i pod wrażeniem wypadków, pierwsza myśl skupienia i obrony powstaje w obozie konserwatywnym, wychodzi od hr. Andrzeja Zamojskiego, a przynajmniej od jego otoczenia. W pierwszych dniach maja 1861 roku, rozesłano do pozostałych z rozwiązanego Towarzystwa kadr odezwę i instrukcyę. W odezwie mówiono o potrzebie przygotowań, do zbrojnego odparcia najazdu i o potrzebie zupełnego uwłaszczenia «łóścian. W instrukcyi zalecano gromadzenie funduszków, spisywanie ludzi zdolnych do broni, obliczanie broni, koni i tp.

Jakkolwiek w parę tygodni potem wszystko to zostało odwołanem, to jednak jest to wysoce charakterystycznym i ciekawem, że pierwsza myśl o potrzebie przygotowań do powstania wyszła ze stronnictwa konserwatywnego, nazywającego się stronnictwem pracy organicznej. Zaniechano wprowadzić owych przygotowań, ale myśl skupienia się, organizacyi, wprowadzono w wykonanie. W miesiącu czerwcu, z żywiołów rozwiązane Towarzystwo rolnicze stanowiących, oraz ze zwolenników programu pracy organicznej, utworzyła się tajemna

organizacya, nazwana organizacyą białą, na czele której stanęła tak zwana Dyrekcyja obywatelska. Organizacya ta mając kadry gotowe, szybko się rozwinęła w Kongresówce, a sięgnęła nawet na Litwę i Ruś.

Żywioły gorące, młode, dotąd jeszcze tworzą luźne kółka. Dopiero w miesiącu październiku łączą się w związek tajemny, nazwany w przeciwieństwie do organizacyi białej, organizacyą czerwoną, której władzą naczelną jest Komitet centralny.

Widzicie więc panowie, jak prawdziwemi są insynuacye pana Sulimy, co do owych związków tajnych, między młodzieżą, które on chce widzieć jako istniejące prawie zaraz od pierwszej chwili po śmierci cara Mikołaja.

Organizacya biała, zasłaniając się pracą organiczną, nie stawiała właściwie żadnego programu. Organizacya czerwona przeciwnie postawiła sobie za zadanie, przygotowanie do zbrojnego powstania nie oznaczając wcale terminu tegoż.

Margrabia miał też swój program. Chciał on, żeby Polska, a raczej Kongresówka, pod względem społecznym, oświaty i narodowym, rozwijała się i rządziła przez własne instytucye, ale chciał zarazem, żeby politycznie zostawała

w związku z Moskwą. Politycznej niepodległości całej Polski margrabia nie dopuszczał. Margrabia nie pytał, czy ten program odpowiada duchowi, tradycyom i aspiracyom narodu. Nie chciał zjednywać dla tego programu stronników. Nie szukał podpory wśród swoich, lecz widział ją tylko we władzy, którą posiadał z ręki obcej, wrogiej Polsce. Nie starał się o zjednanie sobie zaufania w narodzie, bo o to zaufanie nie dbał. W zaroziemieniu i pysze szedł przebojem i nie przebierał w środkach.

Margrabia, jak nie znał własnego kraju, tak nie znał dobrze i tych, na których władzę swoją oparł. Ufny w chwilowe zaufanie carskie, wyższy rozumem i wolą od tych wszystkich, jak w kalejdoskopie zmieniających się namiestników, dumny przytem magnat i arystokrata, pogardzał niemi i upokarzał ich. Zdawało mu się, że potrafi opanować i zniszczyć system, który właśnie ci rozmaici generałowie przedstawiali. Za sojusznika swego miał tylko władzę swoją i z tą władzą w rękę usiłował zdeptać wszystko i wszystkich i nagiąć do swoich celów.

Znacie panowie przebieg wypadków. Znacie ten wspaniały okres religijno-polityczno-manifestacyjny, który na całym obszarze ziemi Polskiej rozwinął

się w r. 1861, a który zakończył się, uroczystym pogrzebem ś. p. arcybiskupa Fijałkowskiego i napadem na kościoły w Warszawie d. 15. października 1861.

Po tych wypadkach margrabia musiał ustąpić, lecz nie na długo. W końcu czerwca 1862 roku, widzimy znowu margrabiego u steru z rozszerzoną władzą, jako cywilnego naczelnika rządu, obok brata carskiego, jako namiestnika. Zamach na W. X. Konstantego i dwa zamachy na osobę margrabiego, powinny były zwrócić jego uwagę, że droga, po której kroczy, nie jest dobrą; lecz przeciwnie to ostrzeżenie zwiększyło tylko jego zaciętość. Później zadano kłam jego polityce w adresach szlachty z Kongresówki do W. X. Konstantego i szlachty gubernii Podolskiej i Mińskiej do cara. W pierwszych z tych adresów, wyrażono: „Że wtedy tylko rząd na zaufanie i poparcie liczyć może, gdy ten rząd będzie „polskim“. A więc rządu, którego naczelnikiem był margrabia Wielopolski, nie uznawano za polski. We wszystkich zaś trzech adresach żądano wyraźnie połączenia pod jednym osobnym zarządem wszystkich prowincyj dawnej Polski, stanowiących zabór moskiewski, a wiadomo, że Wielopolskiego program polityczny zawierał się w ramach konstytucji 15 roku, wyłączającej Litwę i Ruś. I to

jeszcze nie zdołało opamiętać zarozumiałego margrabiego. Brnął dalej na zgubę Polski i siebie.

Znany jest panom fakt poboru, który poprzedził powstanie 22 stycznia i przedwcześnie powstanie to wywołał. Myśl istnie szatańska poboru z charakterem najzupełniejszej proskrypcyi, dotyczącej jedną tylko warstwę społeczeństwa, urodziła się w głowie margrabiego i przez niego została w czyn zamienioną. Jest to fakt niczem i przez nikogo niezaprzeczony. Margrabia nie chciał zrozumieć, że to wzburzenie umysłów w całym narodzie, on sam wywołał i podniecał swoją brutalną a wstrętną polityką, że oburzenie to wyraziło się w tej tak szybko rozrastającej się organizacyi narodowej, tak białej jak i czerwonej, będącej protestem i obroną przeciw tej właśnie jego antynarodowej polityce.

Rozwijające się wypadki mogły coraz więcej przekonywać margrabiego, że nie jest w możności ziszczenia tych obietnic, które poczynił carowi, a które mu zjednały chwilowe tegoż zaufanie. Ratując swoje stanowisko chwycił się tego ostatniego środka, branki. Wiedział, że branka wywoła opór, przyspieszy powstanie, a ufny w siłę, sądził, że ruch tak niewczesny zgniecie, a oczyściwszy sobie teren, będzie mógł potem program swój

przeprowadzić. W zaślepieniu swoim margrabia nieprzewidział, że środek ten, przez niego wymyślony, pograży Ojczyznę w otchłań nieszczęść a jego samego okryje hańbą.

Polacy musieli się od niego ostatecznie nie tylko ze wstrętem odwrócić, ale nawet odmówić mu imienia Polaka.

Nie nie pomogą panegiryki, nie nie pomoże przekręcanie i fałszowanie faktów, nie nie pomoże zrzucanie winy na naród cały, lub jego pojedyncze warstwy. Hańby zbrodni przez margrabiego popełnionej nie z jego czoła nie zmyje. Pozostanie ona wieczną, tak jak wieczną jest hańba zbrodni Targowiczan.

Że margrabia sam ją odczuł, gdy przyszła godzina reflexyi, świadczy, że targnął się sam na swoje życie. Odratowany popadł w obłąkanie.

P. Romanowicz ma głos. — W tej bardzo niestety obfitej współczesnej literaturze historyczno-politycznej, która za cel sobie wzięła powstanie z r. 1863 zohydzić i w najnędniejszem przedstawić świetle, można rozróżnić dwa, jeżeli nie kierunki, to dwa okresy, dwie fazy rozwoju, których syntezą i ostatnim wyrazem jest książka Sulimy.

Z początku, wszystko co szkoła ta wydała, było tylko niesprawiedliwą, nie-

miłosiernie tendencyjną krytyką powstania r. 1863 i całego ówczesnego pokolenia — krytyką, która ostatecznie w tém się streszcza: był wtedy w Polsce jeden tylko uczciwy i rozumny człowiek, margrabia Wielkopolski — wszyscy inni byli albo nieuczciwi albo głupcy. Później ta szkoła historyczno-polityczna poszła dalej — i z potępienia powstania styczniowego wysnuła wniosek, z którym się już pan sprawozdawca dr. Lisiewicz rozprawił — że nie marzyć nam już w ogóle o odzyskaniu politycznego bytu, że już tylko pod protekcyą Rosyi i w granicach etnograficznych istnieć jako tako możemy.

Właściwym twórcą tego tendencyjnie krytycznego, a raczej potwarczego kierunku był Walery Wielogłowski, wydawca Ogniska w r. 1865. Były w tem Ognisku rzeczy takie, że czytając je w ołomunieckim więzieniu, skąd polemizować nie było można, płakaliśmy w bezsilnym żalu. Była tam wprost poniewierana cześć kobiet, chodzących w żałobie — była zohydzona pamięć tych, co zawiśli na szubienicach — było całe powstanie przedstawione w świetle brzydkiem, brudnem, śmiesznem.

Później pojawiła się Teka Stańczyka. Ciekawą jest jej geneza. Kilku ludzi gorących, zawziętych ale nie dość rozwa-

żnych, wydrukowało (właściwie wylitografowało) we Lwowie odezwę, która pozostała zupełnie bez wpływu, słabowiem była napisana a przepełniona tylko szumnemi frazesami. Ta odezwa nie zwróciła nawet uwagi władz — ale przestraszano się jej w Krakowie. Wyobrażono sobie, że już znowu ktoś myśli o powstaniu, że znowu zagraża krajowi nieszczęście niepomyślnej walki — i postanowiono przeciw temu publicystycznie działać. Tak tedy powstała „Tece Stańczyka“. Zrodził ją zamiar patryotyczny — nie przeczę — ale metodę wybrano najzupełniej błędną i fałszywą — metodę nie tę, żeby do rozumu trafić i rozumowo dowieść, iż nie chwila do wszczynania ruchu, ale tę, która do najwyższego stopnia drażni, historyczny sąd w wypadkach wypacza, patryotyczny ogół w uczuciach jego obraża i zamiast uspokoić — roznamiętnia.

I w „Tece Stańczyka“ i w tem wszystkim, co się z niej zrodziło, a także i w książce Sulimy jest jeden najważniejszy, a wprost z tendencyi płynący błąd, t. j. że powstanie z r. 1863 przedstawiono tam jako coś sztucznie zrobionego: zeszło się kilku szaleńców, zawiązali się w spisek, powiedzieli sobie, że zrobią powstanie, i zrobili powstanie i zgubili Polskę.

Wiele rzeczy można bezkarnie twierdzić — ale żeby ruch narodowy, który doprowadził do czegoś nigdy jeszcze w dziejach niebywałego, do tego, że naród przez dwa lata słuchał władzy tajemnej, której nie znał — ruch narodowy, który przez 1½ roku utrzymywał walkę z największem mocarstwem, przypisać spiskowej robocie kilku studentów i sybiraków, jest to stanowisko tak nieumiejętne, tak płytkie, że wcale autorom czy autorowi chluby nie przynosi.

Przyczyny powstania leżą głębiej — one leżą w motywach psychicznych, w położeniu ówczesnem Europy i Polski. W tem położeniu, w jakim się Europa i Polska w latach sześćdziesiątych znajdowała — nie mogło się u nas obejść bez narodowego ruchu. Czy powstanie wybuchnąć miało w 1863 — czy w 64, czy w 65 — to rzeczy nie zmienia — ono było nieuniknione. Poprzednik mój wspominał, jak przygnębioną była Polska przez ćwierć wieku za Mikołaja. Cóż naturalniejszego nad to, że w chwili, kiedy sprawca tej długiej niewoli ducha umiera, naród oddecha swobodniej, duch narodu żywiej się budzi, że n. p. zaczyna się myśleć o tem, ażeby młodzieży w prywatnych schadzkach uczyć dziejów ojczystych, których jej w szkołach nie uczą i t. p. Cóż naturalniejszego nad

to, że w chwili wstąpienia na tron Aleksandra II-go podnosi się nadzieja, iż przecież nastąpi zmiana na lepsze. Tymczasem nowy car na pierwszym zaraz kroku rzuca narodowi w twarz: „Precz z marzeniami! Wszystko, co mój ojciec zrobił, dobre jest.“ Trzeba chyba zupełnie nie znać natury ludzkiej i natury polskiej, aby mieć jakkolwiek wątpliwość co do wrażenia, jakie słowa te wywołać musiały i co do ich skutku — i żeby potem mówić, że powstanie zrobiło kilku studentów i Sybiraków.

Dalej przychodzi wielka kwestya włościańska. Kwestyę tę oddają w ręce jednemu, jakie wówczas istniało, prawdziwie polskiemu, obywatelskiemu ciału, które do pewnego stopnia za reprezentacyę kraju uważanem być mogło — Towarzystwu rolniczemu. I w chwili, kiedy Towarzystwo to zbliża się do rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej, margrabia Wielopolski je rozwiązuje, znosi — tem samym jedyny legalny organ, mogący opinię kraju wyrażać. Ale jeżeli, jak było z kwestyą włościańską, jest jaka potrzeba przez cały naród odczuta i uznana, jeżeli ona jest wprost koniecznością ze społecznych stosunków wynikłą — to gdy się zniszczy jedyny legalny organ do załatwiania sprawy, rzecz musi pójść na drogę nielegalną.

Jeżeli się usunie jawnie działający organ, ruch narodowy przechodzi w tajniki spiskowe. Tak było w dziejach innych narodów, tak i u nas stać się musiało.

Dodajmyż do tego to wszystko, co się w Europie od r. 1859 działo — podniesioną przez Napoleona ideę narodowości, wojnę włoską — jednoczenie się rozbitych dotąd Włoch — dobijające się o swe prawa Węgry — pierwsze błyski wolności i narodowych praw w Galicyi — prowokacyjne roboty Baerensprunga w Poznańskim — a oto mamy te wszystkie psychologiczne motywa, które się złożyły na ówczesny ruch narodowy. Jeżeli margrabia był istotnie tak wielkim mężem stanu, za jakiego go głoszą — to powinien był przedewszystkiem znać swój naród i jego w danej chwili psychiczne napięcie. Rozwiązując Towarzystwo rolnicze, albo stanu tego nie znał, a to świadczy przeciw jego politycznemu rozumowi — albo wiedział, że czyni krok pierwszy ku pchnięciu całego ruchu na drogę powstańczą — a to świadczy o nim jeszcze gorzej.

O tych faktach, o tych psychicznych motywach ruchu, zapomina tak zwana krytyczna szkoła historyczno-polityczna, a potępiając powstanie z r. 1863, posuwa się do najwyższej niesprawiedliwości.

Ta niesprawiedliwość najjaskrawiej może wystąpi, gdy porównamy opinię o roku 1831., z tą, jaką Sulima i jemu podobni szerzą o roku 1863. Powstanie r. 1831 rozporządzało od pierwszej chwili kilkudziesięcioletnią regularną armią, wyćwiczoną najlepiej ze wszystkich, jakie wówczas były w Europie — rozporządzało skarbem pełnym, całą organizacją władz w rękach polskich. Miało zatem przy samym wybuchu całą zorganizowaną siłę państwową — miało jeszcze przynajmniej 10.000 ludzi w kraju, służyłych wojskowo w poprzednich wojnach, materiały znakomite na podoficerów, miało zapał narodu — miało zatem czynniki, któremi zwiększyło swą siłę zbrojną do wielkiej na owe czasy cyfry 100.000. I to powstanie na każdym kroku popełnia takie błędy wojskowe i polityczne, że im bardziej wczytywać się w to, co piszą o tem powstaniu, tem cięższy, tem krwawszy żal czuje się do tych, co stali na czele. Wielu z Was Panowie znało śp. Alfreda Młockiego, tę prawdziwie senatorską postać bez zmazy. Młocki mawiał mi nie raz: „gdybym był w roku 1831. prezydentem Rządu narodowego, który miał 100.000 wojska, miliony w skarbie i zorganizowane wszystkie władze narodowe — i gdybym to wszystko zinarnował — to byłbym sobie w łeb

strzelił, a nie pozwalał bić medali na swoją cześć.“ I miał słuszość.

Porównajcież z tem powstanie z roku 1863, którego winą nie to było, że wybuchło, ale że za wcześnie wybuchło — powstanie bez broni, bez skarbu, bez jawnych władz. Trzymało ono jednak przez półtora roku na uwiezi siły zbrojne największego mocarstwa. — Rząd jego miał posłuch w całym narodzie, pomimo że był tajnym i nikt go nie znał — a całą jego władzę była pieczętka. Upadło, bo upaść musiało, bo nie miało szans zwycięstwa, o tem chyba wszyscy wiedzieli. Ale nikt nie ma prawa nazywać tych, którzy stali na czele ruchu „zbrodniarzami i katami ojczyzny“.

A teraz zobaczmy, dokąd się idzie postępując tą drogą. Dochodzi się do takich aberacyj. jak n. p. ta, w jaką popadł pisarz bardzo znakomity, ale zbyt łatwo różnym wpływom ulegający — który napisał, że kwestya polska nie jest kwestyą granic politycznych, tylko kwestyą utrzymania języka, zwyczajów i obyczajów, czyli, że właściwie kwestyi tej nie ma wcale. Wszak polska kwestya powstała z rozbiorów, t. j. ze zmiany granic — więc tylko zmianą granic rozwiązana być może. Twierdzenie powyższe jest po prostu sprowadzeniem sprawy polskiej do

sprawy języka i narodowych wspomnień, do gramatyki i muzeum historycznego. I z tą tedy gramatyką i z tem muzeum mamy według Sulimy „w etnograficznej Polsce rozwijać się pod berłem carskiem“ — mamy więc stać się podściółką dla przyszłego na całą Słowiańszczyznę despotyzmu moskiewskiego, mamy z nim razem stać wrogo do całej cywilizacji zachodniej. To już może lepiej być bardziej radykalnym — i powiedzieć sobie: pocóż tyle trudów prac i ofiar? nie ma Polski — stańmy się obywatelami całego świata i niech się co chce dzieje — bo jużci, dla ratowania języka na to, ażeby despotyzm carski miał narzędzie w mówiących po polsku swoich sługach nie warto całej naszej krwawej pracy i trudu.

Powiadają nam, że mrzonką jest myśl o odzyskaniu narodowego bytu. Zapewne — jeżeli postawimy termin bezpośredni, krótki termin, któryby pragnieniom każdego z nas odpowiadał. Ale dziejów narodu nie można mierzyć miarą lat kilku a nawet kilkadziesiąt. A wtedy — pytamy czy to rzecz możliwa, żeby nie odzyskał bytu politycznego naród, który tyle co nasz dowodów żywotności składa? Po r. 1863 nastąpiła w Polsce taka reakcja i taki ucisk straszny, jakiego nie zazналиśmy jeszcze nigdy.

A jednak popatrzcie, jak się sztuka i literatura w tym czasie rozwinęła i spotężniała — jak na wszystkich polach życia, na polu naukowem, technicznem, przemysłowem, dajemy dowody, że mamy w sobie całą pełnię sił żywotnych, zawsze czynnych, zawsze się rozwijających na tle narodowem. Czyż można żądać, aby naród, który takie uciski przetrwał i mimo nich na każdym polu życia wy daje i rozwija siły takie, iż kroczy równorzędnie z współczesną cywilizacją, naród, który i w przeszłości swej dziejowej i w obecnym swym stanie znajduje podstawę swego prawa do bytu, ażeby naród taki na wieki wyparł się swych politycznych aspiracyj? To jest polityka samobójcza — do polityki tej nikt nie ma prawa, ani też wykonać jej nie można.

Na tem mogę skończyć. Znam niektórych reprezentantów tej szkoły, z którą tu dziś polemizujemy i wiem, o co im chodzi. Oni wyobrażają sobie, że trzeba koniecznie naród wstrzymywać od zrobienia jakiego ruchu — że trzeba to czynić środkami drastycznymi, trzeba wywołać wstręt do wszelkich ruchów. Ale czyż przypuszczają, że naród cały nie wie tego, iż w epoce mannlicherów o ruchu powstańczym mowy być nie może? Czyż myślą, że jest ktokolwiek

dość szalony, aby wołać do broni? Więc pocóż stracha malować na ścianie i strzelać doń z tak wielkiej armaty, jak zohydzenie przeszłości, a odjęcie wszelkich aspiracyj na przyszłość?

Sprawy te nigdy dość wyjaśnionemi być nie mogą. To też wdzięczność się należy tym, którzy nas na tę pogadankę zaprosili, a osobliwie referentowi p. Lisiewiczowi — i daj Boże, aby takie zebrania odbywały się częściej. A pan Sulima niech będzie spokojny: wychodząc stąd na ulicę nie weźmiemy ze sobą karabinów!

Przewodniczący: Głos ma p. Syroczyński.

P. Syroczyński: Zabieram głos celem sprostowania dwóch faktów, dotyczących społeczeństwa prowincyi kijowskich, którym autor nie wiele miejsca poświęcił, a mimo to wiele i to tendencyjnych błędów umieścił. Mam to sobie za obowiązek, tem bardziej, że sprawa organizacji i w ogóle życia młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie była już kilkakrotnie, a zawsze błędnie omawianą. Przed laty mniej więcej dziesięciu w fejtynie *Gazety Narodowej* były tak przesadne pochwały dla młodzieży kijowskiej, że wszyscy zamieszkali wówczas we Lwowie uczniowie tego uniwersytetu uważaliśmy za obowiązek przeciw tym po-

chwałom młodzieży, a potępianiu społeczeństwa wśród któregośmy żyli zaprotestować; a nie dawno, zeszłego zdaje się roku *Kuryer Polski* drukował pamiętnik Kijowianina Dra Zygmunta Rudnickiego, stojącego w uniwersytecie zdala od kolegów, który także wiele błędów zawiera, niesłusznie ganiąc młodzież, a życie jej i prace zbyt lekceważąc.

Sulima kilka stron tylko poświęca kwestyi organizacyi uniwersytetu kijowskiego i tajnego stowarzyszenia, jakie tam pod nazwą *Trojnickiego* istniało. Ale na tej samej (194) stronie mówi, iż istniał w Kijowie spisek, który się podczas kampanii krymskiej (a więc w roku 1855—56) wydoskonalił, i o władnął życiem młodzieży, — i nieco wyżej, znów że spisek ten powstał w lat parę po kampanii krymskiej, a więc było to najwcześniej w r. 1858. Jak było istotnie? Otóż, mogę twierdzić wedle świadectw samych inicjatorów tego stowarzyszenia że do końca kampanii krymskiej żadnego spisku, ani tajnego stowarzyszenia w Kijowie nie było; że zaraz później niewielkie z razu grono porozumiało się co do wspólnego usiłowania poprawy obyczajów, umoralnienia młodzieży, zachęcania do poważniejszej i nietylko fachowej, ale i społeczno-politycznej pracy. Juści to grono osób nie było legalnem

towarzystwem, ale działało jawnie; w niem wytworzyło się bardzo prędko ściślejsze grono, zarząd niejako nieznany innym, i przez to tajny zwany Trójnickim, ale to nie był spisek polityczny, a co już najniesłuszniej, to przypisuje temu spiskowi autor charakter rewolucyjny, i jako inspiratora jego wymienia janerała Mierosławskiego.

Cel i charakter tego stowarzyszenia, tak samo jak charakter postępowania młodzieży kijowskiej w okresie czasu od r. 1856—7 po drugie półrocze w r. 1862 był obywatelski, organizacyjny, narodowy i postępowy, ale nie mniej jak rewolucyjny. Starano się skupić młodzież polską w jedną całość — i podzielono ją na gminy wedle gimnazyów, skąd do Kijowa byli przybyli, a gminy przez skarbników i poborców porozumiewały się w celu przyniesienia pomocy uboższym kolegom, wspólnego wypisywania książek niedozwolonych i t. p. Tylko studenci z kongresowego Królestwa i z Litwy, których było znacznie mniej, niż z Rusi, łączyli się ze sobą w gminy raczej prowincjonalne niż istotnie jak tamci gimnazyalne. W r. 1860. kilkanaście tych gmin zastąpiono 5 liczniejszemi — koronną, litewską, ukraińską, podolską i wołyńską, które już miały z 5 osób złożoną reprezentację młodzieży —

ale i ta organizacya nie była ani rewolucyą, ani tajną. Do rąk reprezentantów młodzieży oddawano corocznie parę tysięcy rubli na potrzeby uboższych uczni uniwersytetu; gdzież tu mówić o jej tajności.

Szeręg trudnych do zrozumienia błędów popełnia autor pisząc, iż pod wpływem wypadków warszawskich potworzyły się w Kijowie stronnictwa purytanów, mnichów, żyrondistów, którzy pod mianem „ogólnego zebrania“ zawładnęli organizacyą młodzieży i skierowali ją do powstania. Od nazw do przedstawienia rzeczy, wszystko tu błędne. Purystami przezywano pierwotnych reformatorów obyczajów młodzieży — przeciwstawiając ich piżmowcom w r. 1856—57 — a więc na wiele lat przed wypadkami warszawskimi. Mnichów nie było wcale, tylko parę domów najmowanych dla taniości przez grupę studentów, przezywano klasztorami — a żyrondistów lub montaniardów miano, to naleciałość ze studyów historyi wielkiej rewolucyi, bez konsekwencyi na życie i byt młodzieży. „Ogólne zebranie“ — to nie partya żadna, ale ogólne zebranie wszystkich do gmin wpisanych Polaków w uniwersytecie, jednak nie jako wiec zebranych, ale przez delegatów w stosunku 1:10 członków każdej gminy.

I obok bardzo nielicznego tajnego stowarzyszenia Trójnickiego rozwijała się rzekłbym normalnie organizacja ogółu młodzieży polskiej. W roku 1862 ostatni członkowie reprezentacyi tej młodzieży (wówczas po 2 z każdej gminy) byli oraz członkami zarządu Trojnickiego, lub przynajmniej bezpośrednio z nim się komunikowali, i jako tacy poddali w październiku r. 1862 całą młodzież kijowską zorganizowaną Centralnemu Komitetowi w Warszawie; a może nie od rzeczy będzie dodać, że ani chcieli, ani zostali zamianowani Komitetem Centralnym dla Rusi. Do tego drugiego komitetu powołano znacznie starsze osoby, a młodzież była daleko mniej ambitną, niż się dziś często podoba ją przedstawiać.

Taki jest rys organizacyi przedpowstańczej; a gdybym miał charakteryzować ruch ówczesny młodzieży, to był on *par excellence*, organiczny. Powstał *proprio motu*, pod wrażeniem pogromu wojny krymskiej i okazanej tam słabości Rosyi; wpływowi zagranicy nie ulegał prawie wcale, a co najmniej to wpływowi jen. Mierosławskiego, właśnie z powodu jego stanowiska w kwestyi ruskiej (większy choć tylko pośredni wpływ wywierał T. T. Jeź). O ruchu i zachowaniu się młodzieży na Rusi zdecydował ś. p.

Stefan Bobrowski, kijowianin, który w lutym w r. 1862 emigrował, a w październiku przybył do Kijowa już jako delegat Centralnego Komitetu warszawskiego, i poddania się całej organizacyi temu komitetowi zażądał.

Drugi ustęp, w którym autor mówi o sprawach i społeczeństwie ruskich prowincyi, dotyczy kwestyi włościańskiej. Dziesięć stron tylko temu przedmiotowi poświęca, więc ruch umysłowy i wykonaną wówczas reformę społeczną zaledwie szkicuje, a ileż jest ironii i lekceważenia tego bądź co bądź doniosłego objawu w naszym życiu społecznem. Mieszkalem już w Kijowie podczas obrad komitetu włościańskiego nad zaprojektowaną przez rząd i w 4 punktach sformułowaną reformą, noszącą szumny tytuł „polepszenia bytu włościan“ — a nie usamowolnienia ich; miałem sposobność konferować o tej sprawie i z ks. Stefanem Lubomirskim, b. marszałkiem szlady gubernii mohylewskiej i z Bronisławem Zaleskim, który w Petersburgu szlachtę gubernii wileńskiej w komitecie redakcyjnym aktu reformy zastępował. Nigdy jednak nie słyszałem, i nie wiem z kąd autor przyszedł do wiadomości faktu, że generał-gubernator Lwów, Nazimow, za usamowolnieniem włościan wśród szlachty agitował, że on ją do adresów

w tej sprawie namówił. Trudno mi dowieść, że tak nie było; ale to pewne, że żaden znany mi autor rosyjski ani polski tego nie podaje, i że projekta, *proprio motu* przez szlachtę polską prowincyi zabranych rządowi w r. 1859 przedłożone były, liberalniejsze i postępowwsze, niż pierwotny kwestyonaryusz rządu, i niż przeciętne projekta reform, nadesłane z gubernii wielko-rosyjskich.

Dziś, po 30 latach, łatwo autorowi krytykować i wykazywać niedostateczność projektów szlacheckich; wówczas, wobec istniejących prawnie stosunków poddańczych pańszczyźnianych, a nawet w Rosyi osobiście niewolniczych (*dworowyje* — byli poddanymi, nie przywiązanymi do własności ziemskiej, ale do osoby pana lub jego domu, i mogli być bez ziemi sprzedawani) — zrzeczenie się wszelkiej indemnizacyi za usamowolnienie włościan, było ofiarą. Że się nie oświadczały za uwłaszczeniem, t. j. za oddaniem na własność włościanom ich pól ornych, oprócz chat i ogrodów, to się tłumaczy tem, że rząd nie projektował formy wykupu, czyli spłaty tych gruntów; nie przeczę zresztą, że niektóre gubernie oświadczały się wówczas za wieczystem czynszowaniem włościan, i zostały w liberalizmie przez rząd, ale dopiero w r. 1860 i 1861 prześcignięte.

Bądź co bądź, zapoznaje autor humanitarne i społecznie - postępowe tendencje szlachty litewskiej, która jeszcze w r. 1818 czy 1819 Aleksandra I. o uwolnienie włościan z poddaństwa prosiła — zapoznaje prąd liberalny, który objawiła na całej Rusi w większym niż szlachta rossyjska stopniu w początku panowania Aleksandra II. Jeśli fakta dowodzące zacofania szlachty i wyzyskiwania ludu są tak prawdziwe i liczne, jak wynajmowanie wówczas włościan do budowy kolei żelaznych, to wystarczy nam na ich odparcie zapewnić, że po dzień 13/1. marca 1861 ani jednej piędzi kolei nie budowano na Rusi ani na Białorusi — a jeśli nawet budowano w północnej Litwie, to bardzo mało. Podnoszenie przez autora wpływu Michała Grabowskiego, na usposobienie szlachty kijowskiej jest tak samo wielką nieprawdą, jak twierdzenie o opiniach i tendencjach Kraszewskiego, z jakiegoś urywku korespondencji, pisanej w r. 1858 lub 1859. Powtórzę na zakończenie, com już powiedział, iż rzadko się widzi zestawiony taki zbiór błędów.

Przewodniczący: Głos ma Dr. Lisiewicz.

P. Dr. Lisiewicz: Ja, proszę panów, ubiegłym razem nie mogłem wyczerpać wszystkich punktów, które mi

nasunęło czytanie książki. Nie chcę dziś zanađto szczegółowo poruszać tej sprawy, ale muszę kilka szczegółów podnieść. Naprzód zacznę od drobnych. Autor przedstawia niekorzystnie działanie emigrantów i sybiraków na młodzież. Zaznaczyłem już poprzednim razem, że dowodów na to nie podał, teraz dodam, że przedstawił dowód odwrotnie, bo wprowadza młodzież zaczynającą już działać, gdy postanowiła pod wpływem udułych porywów pójsć po błogosławieństwo do przywódców spisku. Ta opowieść świadczy wręcz przeciwnie, ponieważ Wysocki złamany na duchu przyjął młodzież zupełnie zimno, a zapalony Jan Kurzyna opowiadając o tem, rzekł: „To ruina“. Przez podniesienie tego faktu autor nie tylko więc nie dostarzył dowodu na to, co miał udowodnić, ale udowodnił wręcz przeciwnie, że tego nie było.

Teraz co do Towarzystwa rolniczego. Sprawa ta dostatecznie została wyświecona z biegiem czasu przez rozmaite inne dzieła, wiemy dlatego dobrze, jakie stanowisko towarzystwo zajmowało, a jakie mu autor przypisuje. Towarzystwo zostało rozwiązane rzekomo za to, że przekroczyło zakres swojego działania; my wiemy, że to nieprawda, bo towarzystwo obradowało nad tem, co było dozwolone; dowodem tego jest, że ko-

mitet Towarzystwa nie chciał uwzględnić życzeń delegacyi młodzieży polskiej, kształcącej się na Uniwersytetach rosyjskich uznając w zupełności słusność tych przedstawień. Szczegóły, które wyciągnął Sulima na wierzch i szczegóły o osobie margrabiego świadczą, że to był akt prostej zemsty, bo nie mógł dopuścić, aby oczy wszystkich były także oprócz niego na kogo innego zwrócone, t. j. na Zamojskiego. Ta cała strona jest zupełnie pominięta, i autor zupełnie tej kwestyi nie porusza, tymczasem to jest bardzo charakterystyczne, bo znamy Wielopolskiego, jako człowieka nadzwyczaj pysznego, i wiemy że został obrażony przez to, że jego syna nie przyjęto do towarzystwa; a przecież nie powinien był mścić się ani na prezesie, ani na całym towarzystwie.

Z kolei muszę poruszyć kwestyę co do zdań, które się pojawiają we wszystkich dziełach tegosamego kroju; i u Spasowicza, i u Lisieckiego, i u Sulimy spotykamy się z tem, że gdyby nie było tego nieszczęsnego powstania, byłoby się to skończyło epoką reform, i kto wie do czego bylibyśmy doszli. Przedstawienie to u Spasowicza, który pisał po rosyjsku dla społeczeństwa rosyjskiego, możeby się dało trochę wytłumaczyć. Przecie nie jesteśmy ślepi i widzimy, że

z początkiem tego stulecia mieliśmy królestwo kongresowe, które było pod opieką świętego przymierza, nikt też w epoce od 1815—1830 roku nie myślał o robieniu powstania, a przecież widzimy w czasie najnowszych rządów Aleksandra III., że nie tylko Polska, ale i taki wierny naród, jak Finlandya, stracił wszystkie resztki samoistności, a teraz traci prawo nazywania swoich miejscowości swoim językiem, tylko po rosyjsku. Dalej tego rodzaju bańki mydlane dla społeczeństwa są kompletnie nie uzasadnione i najniebezpieczniejsze, gdy była poruszona myśl o owej Polsce etnograficznej. Panowie zapewne wiecie, że ta Polska etnograficzna nie jest płodem autorów Polaków, ale zagranicznych. Sprowadzenie Polski do mianownika etnograficznego jest kompletnem zabiciem narodu, bo wedle zapatrywań tych wszystkich autorów, już na przedmieściu Warszawy nie byłoby Polski, bo i tam się wciska narodowość rosyjska. Więc podsuvanie owej Pol-ki etnograficznej jest jednym z najgorszych wymysłów dla naszego narodu, bo ścieśnia jego granice do kompletnie nie istniejących.

P. Skotnicki: Ponieważ pora spóźniona, będę się starał jak najkrócej mówić. W pogadankach politycznych zwyczajnie panuje różnica przek nań,

pochodząca z przeciwnych zapatrywań, dziś jesteśmy w wyjątkowem położeniu. W pogawędce naszej, którą prowadzimy drugi wieczór, panuje prawie jednozgodność, a jednak muszę się przyznać, że wolałbym, ażebyśmy w zamian prowadzenia polemiki z zadrukowanym papierem, słyszeli tu żywe słowo reprezentantów opinii, przedstawionej w wzmiankowanych przez nas pracach. Obawiam się bowiem, żeby ze względu iż pogawędka nasza skupia się około osoby Wielopolskiego, zaciętrzewieni panegirycy nie powiedzieli, że zbierają się tu niepoprawni spiskowcy, którzy chcą wydać wyrok potępienia na ich bohatera. Między nami jednak nie ma tu pewnie nikogo, coby chciał twierdzić, że Wielopolski w swoim przekonaniu nie pracował dla dobra kraju. Nie występujemy też przeciw rehabilitacyi Wielopolskiego, o ile ona słusznie mu się należy, ale chodzi nam o to jednak, aby rehabilitacya ta nie odbyła się wyłącznie kosztem społeczeństwa polskiego, odznaczającego się wówczas niezwykłą ofiarnością i poświęceniem, a które przez wielbicieli margrabiego niesprawiedliwie ocenione zostało.

Wielopolski, wyniesiony wypadkami, nie zajął odpowiedniego stanowiska, górował wprawdzie rozumem i energią

administracyjną, ale nie umiał być mężem stanu, politykiem, obok siebie nie umiał zgrupować najmniejszego stronnictwa, lekcewazył ludzi, których powinien był dla kraju zużytkować, sądził, że z kilku, z innych przeważnie prowincyi sprowadzonymi urzędnikami, którzy musieli myśleć według jego woli, robi co sobie założył, chciał tem udowodnić, co nieraz powtarzał, że dla Polaków można coś zrobić dobrego, ale „mimo ich woli“ upadł — bo odosobnionemu człowiekowi zdarza się nieraz być wpływowym apostołem, ale w pracy życia codziennego bez poparcia i przyjaciół nie się udać nie może. Wielopolski byłby wielkim w zasługach dla kraju, gdyby w zamian prowadzenia polityki, opartej na zemście, zdołał zapomnieć o niej, a ożywione prawdziwie obywatelskim duchem społeczeństwo umiał prowadzić drogami, jakie wskazywały potrzeby kraju — byłby w zasługach niezapomnianym, gdyby korzystając z władzy, jaką miał w swych rękach, sprawę uregulowania stosunków włościańskich doprowadził do tego stopnia, żeby nastąpi później z Moskwy socjaliści pod wodzą Milutyna i Czerkawskiego dla szeregienia waśni między dworem a włościanami, znaleźli się krępowani, w swych zamysłach, a kraj posiadał już przez

ułagodzenie tej piękącej kwestyi dość siły odpornej przeciwko zamachom nihilistów moskiewskich. Niestety margrabia obrał inną drogę.

Wbrew przeciwej opinii W. ks. Konstantego, wymyślił brankę do wojska, a właściwie wyłapanie i skazanie na zastratę przeciwej mu młodzieży, może istotnie grzeszącej nierozwagą, ale bardzo patryotycznej, a więc i łatwo dającej się użyć do każdej służby krajowej. Beztakt i brak serca tem większy, udowodnił Wielopolski, gdy polecił *Dziennikowi Powszechnemu* ogłosić, iż wielu z tej młodzieży z radością spieszy w szeregi wojska nieprzyjacielskiego — było to wielce niedelikatnem naigrawaniem się z uczuć a najpewniejszym środkiem wywołania przez tę zrozpaczoną młodzież krwawego protestu przyjęciem udziału w szeregach powstańczych. Po kilkunastu latach, Zygmunt Wielopolski w liście do hr. Tarnowskiego miał jeszcze tyle wstrętnej odwagi, że po wyjaśnieniu, iż sam, jako prezydent Warszawy, prowadził „całą proskrypcyę”. pisał: „Dziś jeszcze nie wątpię, że przy sumiennem wykonaniu poleceń, organizacya nie byłaby zesłała do kampinowskiej puszczy i proskrypcya byłaby sytuacyę zbawiła“.

Zaduma, w jaką popadł Wielopolski w ostatnich latach życia i rsilowane samobójstwo, o którym wspomniał p. Janowski, prawdopodobnie były wypływem rozrachunku własnego sumienia. Takie uznanie własnego błędu przemawiałoby tylko na jego korzyść — zaślepieni jednak wielbiciiele nie dopuszczają, aby wielkorządca Królestwa kongresowego mógł popełnić kiedyś błąd, choćby mimowolny, a plugawiać naród, szkodzić tylko pamięci człowieka, bądź co bądź potężnego umysłu, wypaczają ocenę jego działań. Lisicki np. wbrew opinii, osób zbliżonych do Wielopolskiego, chce koniecznie wytłumaczyć, że margrabia był przystępnym, a wydawał się tylko dumnym i lekceważącym innych, dlatego jedynie, że był „nieśmiałym“ (str. 45). Zapomniał widocznie, że przecie sam Wielopolski (bibliot. ordyn. Myszkowskich z 59 r.) mówił: „niezaczepiamy nikogo, lecz gdy kto nam drogę zastąpi, (dajmy na to działwa szkolna) lubimy dać się we znaki“ i słusznie też jeden z naszych uczonych nazywa go „publicystą - bokserem“. Mniejsza wreszcie, co uproszeni chwalecy, w swych „mowach pogrzebowych“ piszą o osobie margrabiego, za zohydzanie jednak przez nich społeczeństwa, a co w swoim czasie wywołało potępienie nawet, pośród na-

szych konserwatystów, (a opinie te, są szkodliwsze od tego co pisze S. w *Historyi* 2 lat) nie można znaleźć dość silnego na nich oburzenia. Z dzieła p. L. pisanego w języku francuzkim, cudzoziemcy zajmujący się historią powziąć muszą jak najniekorzystniejsze a zupełnie fałszywe o Polakach pojęcie.

Abym co do tego twierdzenia nie był posądzonym o przesadę pozwolą panowie, że i dziś zacytuję zdania powag naukowych. Mam właśnie przed sobą książkę wydaną w 1880 r., zatytułowaną „*Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim*“. Książka ta, chociaż jest wydaną bezimiennie, jest jak powszechnie wiadomo pracą znanego propagatora panslawistycznych asymilacyi, człowieka w świecie naukowym zajmującego poważne stanowisko, a który z tego tytułu zasiada w krakowskiej Akademii Umiejętności. Jako wielbiciel Wielopolskiego powiada o nim w swojej pracy, iż tenże nie lęka się porównania z Kościuszką“. W dziełku tem na str. 14 czytamy: „P. Lisicki scharakteryzował polskie społeczeństwo, jako wszelkiego zdrowego zmysłu politycznego pozbawione, rozmarzone, narowiste i niesforne, a nie dające w ciągu dłuższego pasma lat, po zmianie kilku pokoleń żadnego znaku ocucenia się i poprawy;

każdy obcy czytelnik, nawet wcale nie uprzedzony przeciwko polskiemu narodowi, wyciągnie prosty wniosek, że „ród niewolniczy“ na to przeznaczon, aby zginąć, bo nie ma zgoda racji bytu“. O niesforności naszego społeczeństwa w czasie i po powstaniu 63 r. chyba mówić trudno, bo ono ściśle słuchało już nie tylko powag, ale nawet posłuszne było pieczęci, chociaż ta nie raz spoczywała w rękach zbyt niedoświadczonych ludzi. Na tejże samej stronnicy, tenże autor streszcza napisaną przez p. Lisickiego broszurę „Sprawy domowe“, w ten sposób: „Polskę rozebrano, bo sama się rozpadła, ale i po rozbiorze, aż do powstania 63 r. nie było, wedle Lisickiego, żadnego opamiętania się, nie naliczyć dziewięciu ludzi zacnych i mądrych, istna plaga, wszyscy byli intryganci, albo zaślepieni, jeden tylko margrabia zawsze i wszędzie miał rację, przeto został ukamienowany“. W taki sposób przedstawia p. L. kraj nasz.

Przed chwilą jeden z moich poprzedników, dla scharakteryzowania rządów Mikołaja — które p. Spilima w swej pracy po mistrzowsku przedstawił — opowiadał nam na udowodnienie jaki w kraju panował terroryzm przestraszający całą ludność. Gdy ojciec chciał ro-

dzinę zawiadomić o śmierci Mikołaja, pozamykał przedtem drzwi, w obawie aby nie był podsłuchany i w następstwie nie uległ prześladowaniu, a jednak p. L. w IV tomie miał odwagę napisać, że cesarz Mikołaj był właśnie takim monarchą, jakiego Polska najbardziej potrzebowała. Szczyściem, że dzieło p. L. mało kto czytał w kraju, a chyba tej okoliczności przypisać należy, iż opinia kraju nie wyrzekła jednozgodnego potępienia. Więcej szkody wyrządzają wielbicielę jego talentu pisarskiego dając mu sposobność i obecnie do pouczenia autora „Historyi 2 lat“ i innych jak mają pisać historią ostatnich wypadków, a to drukując w swych organach jego krytyczne oceny wszystkich prac dotyczących usiłowań porobiorowych narodu.

Może nieco odstępiałem od przedmiotu, sądzę jednak, że celem naszej pogawędki nie jest jedynie krytyka pracy Sulimy, ale w ogóle, rzucić trochę światła na rozwój ostatniego ruchu narodowego. Z tego wychodząc założenia pozwolę sobie jeszcze na zakończenie kilka uwag.

P. Spasowicz twierdzi, że powstanie styczniowe stało się koniecznością, a od twierdzenia tego nie daleko odbiega i Sulima. „Umysły bystrzejsze, pisze on,

dalej widzące, przenikliwsze i przezorniejsze, już wtedy (podczas pobytu cara w Warszawie) spostrzegły, że nie może być kompromisu z Rosją... że konflikt jest nieunikniony, starcie konieczne w niezbyt dalekiej przyszłości... Nic tej logiki zmienić nie mogło, ani ludzie, ani fakty... Katastrofa była tak fatalnie konieczną, tak naturalną w obec obustronnych aspiracyi i dążeń, jak to, że słońce wstaje co dzień rano i co dzień wieczór zachodzi“.

Ówczesny rozwój ruchu narodowego, jego źródło i ugruntowanie dokładnie nam przed chwilą przedstawił p. Romanowicz. Zewnętrzne wypadki i zainteresowanie ogólne w Europie sprawą naszą, rozbudziły naród w letargu pogrążony. Pod grozą ostatecznej zagłady, kraj ocknął się i to nie bez udziału najroztropniejszych żywiołów. Do ich przeciegrona należał, znany w kraju stronnik rządu, marszałek szlachty gubernii lubelskiej, Jan Jezierski, który pierwszy, jak wiadomo, zdecydował się przemówić w interesie kraju — a jednocześnie prawie margrabia Wielopolski nosił się z myślą podania memoriału. Całe to stronnictwo mniemało słusznie, że spełnia obowiązek obywatelski odzywając się do sumienia młodego monarchy, który przybywając do stolicy Polski, wydawał

się ożywionym najlepszymi chęciami — ale nim zamiar w czyn wprowadzono, usłyszano już groźbę, że wszelkie marzenia surowo będą karane. Nie młodzież więc, ale ci, którym jak mówią — z wieku i urzędu przypada przodować krajowi — w poczuciu obowiązku jaki spełnić należało, stali się twórcami ruchu narodowego. Oni to nawet wcześniej byli zorganizowani, jak czerwoni, a umiarkowanych opinii „Strażnica“ wyprzedziła powstanie „Ruchu“ organu niecierpliwiejszej się młodzieży. Mimo to, odpowiedzialność za klęski, jakie spadły na kraj po powstaniu, składali ci właśnie, na których głównie ciężyc winna prawnie i wyłącznie (i to w formie co najmniej niewłaściwej) na stronnictwo ruchu, przez które rozumiano przeważnie młodzież.

O stanowisku w ruchu narodowym, powróconych z Syberyi zesłańców i przybyłych z emigracyi osób, mówiliśmy już uprzednio. W zachowaniu się młodzieży zaszły istotnie pewne zmiany. Jad zgnilizny szczepiony w zakładach naukowych, między młodzieżą przez Bibikowa i innych mu podobnych nie działał już trująco. Młodzież hulaszczą spoważniała — obznajamiając się z historią i literaturą narodu, sposobiła się do pracy obywatelskiej. A z takiej zmiany tylko

cieszyć się mogło społeczeństwo. Korporacje zaś uniwersyteckie, a nawet tajne związki, jak spisek Trojnickiego, Kapituła i inne nie były groźne, a w każdym razie o wiele mniej miały znaczenia, niż odgłos wystąpień dygnitarzy i znanych rządu przyjaciół Jezierskiego, Wielopolskiego, szlachty podolskiej i innych. Margrabia początkowo naradzał się co do swych zamysłów z redakcją „Czasu” i jego protektorami i tem łatwiej znalazł naśladowców w szlachcie podolskiej, litewskiej i białoruskiej, gotowej do wszelkich dla ojczyzny poświęceń. Moralnym rządem kraju było odtąd stronnictwo ugrupowane nieco później obok Zamojskiego — a miało ono posłuch ogólny. „Czas” był, rzec można, wyrazem jego opinii. Od chwili zaś, gdy korespondenci z Paryża, w krakowskim piśmie i dziennikarstwie zagranicznym rozniecali nadzieje na podstawie zasłyszanych rozmów i pogłosek z Tuilleryów, a Andrzej Koźmian radował się z mistycyzmu w jaki kraj cały popadł, sławił ogólną pochopność do ofiar, biorących udział w manifestacyach religijnych, usposabiając jednocześnie wszystkich niechętnie do Wielopolskiego, który wypadł już był z łaski przyjaciół „Czasu”, demonstracje uzyskały silne podstawy. Cały kraj był roz-

agitowany. Wzięcie dymisyi przez marszałków szlachty, adres podany we Wrześniu 1862 na ręce Zamojskiego, ustąpienie zbiorowe członków Rady stanu i Rad powiatowych, myśl zaprzestania opłaty podatków, rozwiązanie władz sądowych przez podanie się do dymisyi — wychodziły od tych, co dziś szukają winnych za wypadki 1863 r. po za swoim stronnictwem, a poddawane zwykle były pod aprobatę Hotelu Lambert. Cóż więc w obec tego znaczyły trójki czy dziesiątki młodzieży, można je było użyć i kierować według swej woli — a w każdym razie, owe wystąpienia młodzieży, dodawały poparcia żądaniom stawianym w obec rządu.

Do wybuchu powstania nie zajmowałem żadnego stanowiska w organizacyi stronnictwa ruchu — znałem jednak dokładnie ówczesne stosunki kraju, mogę przeto bezstronnie i zgodnie z rzeczywistością stwierdzić, że Komitet Centralny do listopada 1862 r. z wyjątkiem większych miast, mimo swej ruchliwości, nie miał na prowincyi uznania, ani należytej powagi. Stał on nieporadnością białej organizacyi — z przystąpieniem dopiero duchowieństwa uzyskał doniosłejsze znaczenie.

Dyrekeya obywatelska w ogóle lekceważyła przywódców ruchu, a ci tem dra-

żnieni stawali się co raz mniej skłonnymi do ustępstw i zgody. A gdy starsi wypuścili prawie z rąk swoich przodownictwo, wtedy młodzi pospieszyli zająć upragnione stanowiska. Wielopolski nareszcie sprowokował swą proskrypcją krwawy dramat, a raczej oznaczył termin wybuchu. Wtedy znów stronnictwo ugrupowane w około „Czasu“ w Krakowie wzięło na siebie obowiązek informowania Europy o stanie kraju przez co zapewniło sobie wpływ doniosły na przebieg dalszy wypadków. A nawet, gdy przewódcy powstania, po pierwszych chwilach niepowodzenia, naradzali się czy nie należy walkę zakończyć i oddać się w ręce rządu moskiewskiego, to panowie krakowscy wtedy właśnie najzacięwiej zaopiekowali się powstaniem i postanowili niewątpliwie w najlepszej wierze rozpocząć walkę utrzymać, a Dyrekcyja obywatelska rozwiązała się uznając Centralny Komitet. Jeżeli przeto za wybuch przedwczesny odpowiedzialni być muszą Wielopolski z synem Zygmuntem, to za przedłużanie powstania przeważnie konserwatyści. Jeszcze 24 lutego 1864 r. ks. Czartoryski w depeszy swej do Rządu Narodowego przedstawiał konieczność utrzymania walki. Nie chcę przez to jednak twierdzić, że zupełnie wolnym jest od odpowiedzialności stronnictwo ruchu,

a najmniej usprawiedliwiać różnej kategorii wichrzycieli.

Nie wątpliwem jednak jest, że w rozwoju ruchu narodowego, cały kraj był równie czynnym, a więc i odpowiedzialnym, że wszystkie stronnictwa pracowały z równie dobrą wolą, choć nie zawsze udatnie i szczęśliwie. Gdyby nawet udało się powstanie odroczyć, to i wtedy sądzę nie uzasadnionem jest łudzenie się, iż kraj w reformach mógł stale postępować i zaspokoić swe potrzeby. Staliśmy się ofiarą nęcących sympatyj zagranicy. Idea narodowości, podniesiona przez Napoleona, która wydała się nam gwiazdą wybawczą, przyniosła nam tylko bolesny zawód, zaogniła walkę rasową. Niemcy w prowincjach bałtyckich w obec podjętego przez Moskali hasła ruszczenia, chociaż najwięcej zasłużeni około idei caryzmu, zostali przecież pozbawieni wszelkich praw, bez żadnego innego powodu, jedynie dla swego pochodzenia i to mimo opieki Prusaków, to samo spotkałoby nas prawdopodobnie, gdyby nawet powstania nie było.

Przewodniczący J. Starkel: Pozwólcie panowie, ażebym na zakończenie dzisiejszego posiedzenia dodał słów kilka. Jestto rzecz bardzo ważna, ażeby ci, którzy brali znaczniejszy udział w wypadkach roku 1863 nie zeszli z tego świata, nie

dawszy autentycznych informacji o tem, na co patrzyli. Wina to poniekąd nasza, że pojawiają się książki, które przedstawiają wypadki z r. 1863 w świetle fałszywem — bo ci, którzy mogliby dać wyjaśnienia autentyczne — za długo milczą. Wprawdzie całe grono uczestników powstania z r. 1863 podjęło wydawanie materiałów do historyi tego powstania — i wielka jest w tem ich zasługa — ale nie wystarcza to jeszcze, ażeby na podstawie naocznych świadectw przekazać cały, wyczerpujący zarys tej ważnej chwili dziejowej następnym pokoleniom. Zdaje mi się przeto, iż stanę się tylko wyrazem życzenia wszystkich tu zgromadzonych, jeżeli wskażę potrzebę, ażeby w łonie tego samego grona przystąpiono już dziś, — z oddalenia lat 30tu, które musiały wpłynąć na wyrobienie przedmiotowego sądu — do opracowania historyi powstania 1863/4 w całokształcie pragmatycznym.

Książka, która była obecnie przedmiotem rozbioru i inne podobne dzieła, usiłujące dać obraz powstania, czerpią przeważnie z materiałów rządowych, muszą być przeto stronnicze. Należy w nich zresztą jeszcze coś zamarkować, tj. stronniczą tendencję i niebezpieczną metodę. Ta metoda usiłuje na pozór być umiejętną, stara się nie przywiązywać żadnej

wagi do tego, co nie jest źródłowe, a jednak tchnie ona z góry powziętą tendencyą potępienia. Tem gorszą zaś staje się ta metoda i tendencya w książce Sumy, bo czyta się ją przyjemnie, z zajęciem, bo autor nie występuje jaskrawo, z potępieniem, bo raczej sympatycznym, choć w obec innych zapatrywań nielogicznym kreśleniem wypadków i postaci, stara się ująć sobie czytelnika i grać na patryotycznej strunie jego serca. I w tem jest właśnie najgłówniejsze niebezpieczeństwo; fałsz, ubrany w szaty sympatyczne, wnika tem łatwiej w serca i umysły młodszego pokolenia, które ma z książek tego rodzaju wyrabiać sobie sąd o powstaniu 1863 r.

Wynurzam tedy nadzieję, że cała ta wielce ważna sprawa nie skończy się na krytyce i że zbierzemy się, daj Boże, znowu kiedyś w tej sali, a przedmiotem rozbioru będzie historia powstania napisana przedmiotowo, i dająca nietylko nam ale i obcym wierny obraz tej ważnej chwili dziejowej.

Liczne Zgromadzenie uznało pożyteczność prowadzonej pogadanki i uchwaliło wydrukowanie wszystkich przemówień, co niniejszem na podstawie stenograficznych notat uskuteczniamy.

